



WALTER-SKOTT

WAWERLEJ

opowiadanie historyczne

Tom II.



W BIAŁEJ

1010.6

1010.6
1100

WARSZAWA.

NAKLAD REDAKCYI „PRZYJACIELA DZIECI”.

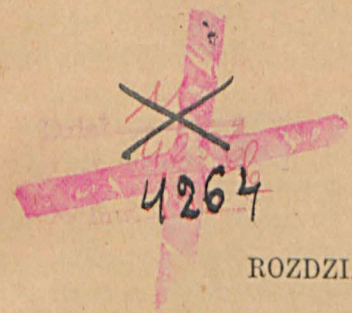
1907.



4264



Druk Towarzystwa Akcyjnego S. Orgelbranda Synów.



ROZDZIAŁ I.

Słońce nachyliło się ku samemu zachodowi. Gili-
fillan ciągle opowiadał, powstając na bezbożność, a od-
dział zaczął się wspinać spadziłą drogą na szczyt gó-
ry. Wtem kramarezyk obejrzał się bacznie, rzucił spoj-
rzenie w krzaki i jakby psa poszukiwał, zaczął gwizdać
bardzo głośno.

— Przyjacielu! — rzekł cierpko Gilifillan — nie
lubię tego szatańskiego głosu, zwłaszcza, gdy myśl mo-
ja zbawieniem dusz ludzkich zajęta. Przestań!

— Przebaczcie! — odparł kramarz — ale mój pies
wart opieki, nie opuszczę go!
I znowu gwizdnął.

— Jeszcze raz zrób coś podobnego! — zawołał Gilifillan, wyjmując pistolet z olstry — a strzelę do ciebie, bo to może być znak, którym wabisz łotrów podobnych do siebie.

— Panie! czyż mógłbyś dopuścić się morderstwa? — zapytał kramarz i przesunął się na tył oddziału, gwiżdżąc po raz trzeci z największą mocą.

Gilifillan zwrócił się ku niemu, jednocześnie z krzaków wyskoczyło ośmiu silnych i zbrojnych górali i rzucili się na żołnierzy; kramarz podjętym z ziemi karabinem uderzył w głowę Gilifillana, waląc go na ziemię, a ten, bezwiednie wystrzeliwszy z pistoletu, kulą trafil konia Wawerleja.

W zgiełku i zamieszaniu, jakie ztąd powstały, Wawerlej przygnieciony przez padającego swego wierzchowca, silnie pognieciony został, ale zanim oprzytomniał, uczuł, że go dwóch górali podniosło z ziemi i zaczęło z nim spieszenie uchodzić przez krzaki i zarośla. Od drogi dochodziły strzały i odgłosy walczących, ale wkrótce ucichły zupełnie, i kiedy Wawerlej odurzony tem wszystkiem wrócił wreszcie do zupełnej przytomności, zobaczył się leżącym na obszernym pledzie, niesionym przez czterech górali z wielkim pośpiechem,

jakby się lekali pogoni. Między sobą mówili mało i zawsze po gaelicku, na robione sobie zapytania nie odpowiadali, jakby uszów nie mieli, a gdy się jedni dźwiganiem znużyli, zaraz zastępowali ich drudzy i z równą szybkością spieszyli dalej. Wawerlej, pragnąc ich ośmielić, wymienił nazwisko Wich-Jan-Wohra, sądząc, że tem przynajmniej zwróci ich uwagę na siebie; — lecz górale nawet nie spojrzeli na Wawerleja i pędzili dalej przez wzgórza i lasy.

— Któż mnie więc ze szponów Gilifillana uwolnił? — zapytał sam siebie Wawerlej. — Czyżby to była nowa niewola? Bądź co bądź, zawsze tam koniec był bardzo wątpliwy, tu przynajmniej mam nadzieję ocalenia.

Pragnąc więc przekonać się, o ile jest strzeżony, pomimo osłabienia starał się dźwignąć z pledu i wyskożyć, ale wtedy górale dawali mu groźne znaki uspokojenia się.

Już pomroka nastąpiła przed światłem księżyca, kiedy oddział niosący Wawerleja zatrzymał się nad brzegiem spadzistej doliny, otoczonej mnóstwem drzew i gęstemi zarosłami krzakami. Dwaj górale zeszli wąską ścieżką, zapewne na zwiady, a gdy jeden z nich za

chwilę powrócił, wyrzekł parę słów do towarzyszków, którzy natychmiast ciężar swój wzięwszy na barki, z wielką ostrożnością nieśli go drożyną wąską i spadzi-
stą. Na dole i jak się zdawało po szumie wody, nad brzegiem strumienia, oddział zatrzymał się przed małą i ubogą chatą. Drzwi w niej były otwarte, podłogi ani śladu, ściany z kamieni przekładane darnią, dach podziurawiony nie był nakryty słomą tylko gałęziami. W środku izby rozłożone ognisko dymem nappełniało całą lepiankę, a stara góralka zajęta była gotowaniem wieczery. Teraz dopiero przekonał się Wawerlej, że niosący go górale nie byli z klanu Fergusu, który starannie pilnował, aby podwładni jego nosili tartany w paski według odwiecznie przyjętego zwyczaju. Ci zaś zupełnie młeli inne, do Fergusu zatem klanu nie należąc, nie z jego rozkazu uwolnienia dokonali, co jeszcze bardziej zagadkowe położenie Wawerleja zaciemniło.

Prócz balii do prania i kilku gratów zniszczonych, jedynym sprzętem w tej lepiance było obszerne łóżko drewniane, deskami w koło obite, jak wielka klatka, do której wchodziło się drzwiczkami do zasuwania zaopatrzonemi. Jak tylko Wawerlej dał poznać, że nie chce żadnego posilku, włożono go do owej klatki i zam-

knięto. Sen jego był niespokojny i przerywany, dziwaczne jakieś kształty snuły się mu przed oczami, potem nastąpił dreszcz febryczny, mocny ból głowy i nie-
znośne cierpienie w udach. Nazajutrz sami dozorczy je-
go przekonali się, iż dalszej podróży nie był w stanie odbywać, po długiej przeto naradzie sześciu z nich opu-
ściło chatę, zostawiwszy jednego starego, drugiego mło-
dego górala. Starszy zbliżył się do Wawerleja, zaczął ciepłemi kataplazmami okładać bolejące części, które przez noc napuchły i zasiniały, a potem zamknął drzwi klatki, namawiając Wawerleja do spoczynku. Febra do-
piero trzeciego dnia ustąpiła, mógł więc podnieść się lubo z wielkiem wysiłkiem, i zaraz zdziwił się, że tak góralka jak i góral pilnie starali się, aby przez drzwiczki odemknięte nie mógł widzieć co się wewnątrz izby działo. Gdy bowiem Wawerlej zaporę usunął, oni na-
tychmiast ją zasuwali, a ów starszy góral, pragnąc te-
mu koniec położyć, zabił z wierzchu gwóźdź tak mo-
cno, że nieprędzej można było drzwi odsunąć, aż po odjęciu tej przeszkody.

Kiedy Wawerlej zastanawiał się nad przyczyną tak dziwnego postępowania, sprzecznego z troskliwością, ja-
ką go darzono, otaczając wszelką wygodą, przypomniał

sobie, że w przystępie najsilniejszego cierpienia i gorączki, widział postać młodej kobiety bardzo nim zajmującej się. Przypomnienie to nabrało tym większej rzeczywistości, gdy pilnie przysłuchując się, rozpoznał głos drugiej kobiety, która z góralką po cichu rozmawiała. Zaczął więc silić się nad wydobyciem gwoźdźcia ze drzwi, a gdy mu się to udało, przez małą szparę zobaczył rzeczywiście w izbie postać kobiety okrytej płaszczem góralskim i rozmawiającą ze starą góralką. Twąży jednak jej nie mógł zobaczyć, gdyż kobieta obrócona była do niego plecami, a gdy pragnąc lepiej się przypatrzeć, drzwiczki posunął i te zaskrzypiały, owa młoda kobieta spiesźnie wybiegła z izby.

Od tego czasu ustala zupełnie blokada klatki Wawerleja, i nie tylko pozwolono mu, ale nawet pomagano wstawać z łóżka, które dotąd więzieniem było dla niego. Nie mógł jednak z chaty wychodzić, i ile razy Wawerlej do drzwi się zbliżał, tyle razy młody góral na warcie stojący, grzecznie zachodził mu drogę i znakami wskazywał, że mu grozi wielkie niebezpieczeństwo i że nieprzyjaciół blisko się znajduje. Stara góralka zdawała się być zatrwożoną, a Wawerlej skutkiem jeszcze wielkiego osłabienia, nie mogąc gwałtem doko-

nać wycieczki, przymuszony został czekać cierpliwie sposobniejszej do tego pory. Stół jego pod każdym względem był lepszy, aniżeli mógł się spodziewać; dawano mu drób, nawet wino. Górale nie śmieli nigdy razem z nim siadać, okazywali wielkie uszanowanie, wyjawsz tylko tę okoliczność, że go pilnie strzegli, jakby więźnia. Jedyną jego zabawą było patrzeć przez otwór miejsce okna zastępujący, z którego widok wychodził na szeroki i spadzisty strumień gęstemi krzakami obsadzony, spadający z góry i pieniący się z łoskotem w kamiennem łóżysku.

Szóstego dnia po wyjściu z klatki, Wawerlej tak dobrze się poczuł, że zaczął naprawdę przemyślać, jakby wymknąć się z tej nudnej chałupiny; szło tylko teraz o to, w którąby się udać stronę po odzyskaniu wolności: — czy do Fergusu, czy do jakiego portu w Szkocyi, aby popłynąć do Anglii.

Kiedy zastanawia się nad tak ważnem zadaniem, siódmego dnia wieczorem otwarły się nagle drzwi chaty i weszli dwaj górale, pierwsi jego towarzysze. Pomówiwszy krótko z dozorcami, pokazali Wawerlejowi na znaki, ażeby się przygotował do podróży i opuszczenia chaty. Wiadomość ta niezmernie go rozradowała, za-

raz też stara góralka zaczęła pakować jego tlómczek. a gdy Wawerlej, zamyślony nad nowym zwrotem swego położenia, przechadzał się po izbie, gubiąc się w domysłach dalszych swoich losów, uczuł nieznacznie lekkie dotknięcie w ramię. Obejrzał się; była to Aleksya, córka Donalda, która pokazawszy mu skrycie pakiecik papierów, położyła palec na ustach, podsunęła się ku tlómczkowi, i obwinawszy ów pakiecik w bieliznę, zręcznie ją między rzeczy wsunęła.

Miałażby więc Aleksya być ową nieznajomą, która go pielegnowała w czasie choroby? Chęci zarobowania go nie widział, co stanowiło zwyczajne zajęcie Donalda, gdyż nie tylko nie zabrano mu rzeczy, ale nadto zostawiono mu sakiewkę, któraby mogła znęcić każdego złodzieja z profesyi. Może pakiet objaśni to wszystko, lecz ostrożność Aleksyi widocznie okazywała, że życzyła sobie, aby pakiet tajemnie był otworzony. Nadto zapewniwszy się, że Wawerlej ją zrozumiał, wyszła z chaty i tylko w chwili, gdy przez drzwi przechodziła, korzystając ze zmroku, pożegnała go uśmiechem i znaczącem skinieniem głowy, a potem zniknęła w ciemnej dolinie.

Młody góral wychodził po kilka razy na zwiady,

i kiedy wreszcie coś piąty raz powrócił, ruszono z miejsca, dawszy Wawerlejowi znak, iżby szedł za nimi. Wawerlej uściśnął rękę starej góralki, która o nim tak pieczołowicie miała staranie i dał jej sztukę złota, jako dowód swej wdzięczności.

— Boże, błogosław ci, kapitanie Wawerleju! — zawołała staruszka czystym szkockim językiem, lubo dotąd inaczej nie mówiła jak po gaelicku. Zdziwiło to niezmiernie Wawerleja, lecz pośpiech towarzyszków nie dozwolił mu bliżej rzeczy całej zbadać.

Jak tylko konwój zebrał się przed chatą, przywódzca oddziału nakazał wszystkim jak największą ciszę, potem wręczył Wawerlejowi miecz i pistolet, dając do zrozumienia, że może będą zmuszeni gwałtem sobie torować drogę. Poczem stanął na czele oddziału, który zwyczajem Indyan jednym szeregiem naprzód postępował. Wawerlej zajął pierwsze zaraz po nim miejsce; oddział cały posuwał się z największą ostrożnością, a dostawszy się na wierzch ścieżki, przywódzca dał znak i wszyscy zatrzymali się, jakby ich kto nagle przybił do miejsca. Po chwili w pośród najgłębszej ciszy, w niewielkiem oddaleniu, dało się słyszeć wołanie placówki angielskiej:

— *All's well!* wszystko bezpiecznie!

Donośny odgłos rozlegał się z wiatrem nocnym po zarosłej dolinie; po razy kilka coraz słabiej powtórzonym został, aż wreszcie umilkł. Widoczną było rzeczą, że w pobliżu znajdował się oddział wojskowy, mający się na baczności, której nie wiele bali się ludzie z miejscowością tak dobrze obznajmieni. Gdy wreszcie odgłosy te w ciszy nocnej utonęły, górale spieszenie w dalszy puścili się pochód, zawsze jednak zachowując największe milczenie. Nagle przewodniczący zatrzymał się, i z bacznością zaczął wietrzyć jak wyżeł tropiący zwierzynę, potem układował się na czworakach, obwinął w płaszcz góralski i czołgając się niby wąż przy samej ziemi, zniknął w gęstwinie. Nie długo powrócił znowu, wyszeptał jakiś rozkaz i zaraz górale rozpięchli się w różne strony, a Wawerlejewi dał do zrozumienia, żeby siedł za jego przykładem. Nie było to ani wygodne ani przyjemne, i gdy tak przepełzli kawał drogi, Wawerlej poczuł zapach dymu, który bez wątpienia już dawniej musiał uderzyć delikatniejsze powonienie jego przewodnika. Pochodził on z niskiego walącego się domostwa z kamieni bez żadnego spojenia postawionego. Za danym znakiem przewodnik z Wawerlejem,

zbliżywszy się do jego ściany, zobaczyli po za nią czterech żołnierzy leżących przy ognisku i śpiących w najlepszym, oprócz szyldwach, który przechadzając się z bronią na ramieniu, patrzył w przeciwną stronę, w której księżyc wydobywał się z ciemnej chmur powłoki. Przewodniczący, przypatrzawszy się całej tej scenie, obejrzał się bacznie, skinął na górala przy Wawerleju znajdującego się, jakby mu przypominał poprzednio wydany rozkaz, i puścił się nazad w tym samym kierunku, skąd przyszedł przed chwilą. W parę sekund cisza dookoła najzupełniejsza zapanowała, księżyc uwolniony z chmur zajaśniał w całym swym blasku, szyldwach zaczął się znowu przechadzać. Wtem nagle z przeciwnej strony zarośli wyszedł na polankę przewodnik, zmierzył z karabiną, dał ognia do żołnierza i rzucił się w gęstwinę. Szyldwach odstrzelił, straż śpiąca zerwała się na równe nogi i pospieszyła w krzaki dla zbadania napaści. Był to tylko wybieg wojenny dla wypłoszenia żołnierzy z hurtu, przez który górale przejść koniecznie musieli. Gdy się tak szczęśliwie udał, góral z Wawerlejem puścili się pospiesznie ścieżyną opuszczoną przez żołnierzy i po kwadransie biegu przebyli pagórek, po za którym pewni być mogli,

że ich nikt nie dojrzy. Zawsze jednak w pewnem oddaleniu, słyszeli jeszcze nawoływanie żołnierzy i daleki odgłos bębna zwolujący cały oddział do broni.

W pół godziny później, Wawerlej z góraliem doszli do otwartej doliny, i tu pod pniem starego dębu, burzą do połowy zgruchotanego, znaleźli kilku górali i trzy konie osiodłane. Zaledwie towarzysz Wawerleja opowiedział wypadek, jaki ich spotkał w drodze, gdy sam przewodnik, zwany przez nich Dunkanem, nadbiegł bez tchu prawie i z widocznymi oznakami, że tu szło o jego życie, śmiał się jednak i nadzwyczajnie cieszył z pomyślnego skutku wybiegu, którym ścigających oszukał, co nie trudno mu przyszło, skutkiem dokładnej znajomości całej okolicy.

Dunkan, nacieszywszy się dosyć z towarzyszami, odebrał broń Wawerlejowi, dając do zrozumienia, że mu w dalszej podróży nie będzie już potrzebna i że ją odbywać będzie konno, z czego się Wawerlej jako po chorobie zbyt osłabiony, niezmiernie ucieszył. Zaraz też dosiadł konia i w towarzystwie Dunkana ruszył w drogę.

Żaden już inny wypadek nie przerwał tej nocnej podróży; ze świtem dostali się nad brzeg bystrego

strumienia. Wznosił się tu wspaniały zamek, o którego w połowie zwalone wieże odbijały się już pierwsze promienie słońca. Na jednej z wież stał szyldwach-góral, na drugiej powiewała wielka biała chorągiew, świadcząc, że cała załoga składała się ze stronników domu Stuartów. Przebywszy szybko małą wioskę, wjechali nasi podróżni na stary most o kilku arkadach i dostali się do drogi wysadzonej ogromnemi jaworami. Brama do zamku prowadząca, z żelaznych ułożona krat, stała otwarta.

Jakiś człowiek w stroju góralskim dopomógł Wawerlejowi zsiąść z konia i oświadczył mu uprzejmie, że przybycie jego nader jest pożądanem dla mieszkańców zamku.

Komendant, bo tak go nazwać musimy, zaprowadził następnie Wawerleja do pokoju na wpół zburzonego, w którym stało jednak niewielkie polowe łóżko.

— Czy nie bylibyście, komendancie, tak łaskawi — rzekł Wawerlej, podziękowawszy poprzednio za odebrane usługi — dać mi objaśnienie, gdzie jestem i czy mam się dalej za więźnia jeszcze uważać?

— Nie jest w mojej mocy — odrzekł komendant — na te pytania szczegółowo wam odpowiedzieć. Powiem

tylko, że znajdujecie się w zamku Doune i że nie macie się zupełnie czego obawiać.

— Cóż mi jednak ręczyć może za bezpieczeństwo mojej osoby?

— Słowo Donalda Stuarta — odrzekł zapytany — komendanta załogi w służbie króla Edwarda.

To powiedziawszy, spiesząc wyszedł, unikając dalszych badań, a Wawerlej, strudzony nocnym niewywycasem, rzucił się na łóżko i zaraz usnął.

W parę godzin, ocknąwszy się, uczuł, że mu głód dokucza. Na stole zastawione było obfite śniadanie, lecz komendant Stuart już nie pokazał się, a w miejsce jego przyszedł służący, oświadczając, że jest przeznaczony do jego usług i do towarzyszenia w dalszą drogę, w którą dziś jeszcze wieczorem udać się będą musieli.

— I gdzież mnie na nowo popędzicie? — zapytał Wawerlej — czyż tej włóczędze nie będzie już końca.

— To do mnie należy — odrzekł służący — mam tylko polecenie służenia ku waszej wygodzie.

Wawerlej, dumając nad swoim nowem równie dziwnem położeniem, przypadkiem spojrzął na swój tłomoczek przeniesiony podczas snu do izby. Przypo-

mniał sobie natychmiast tajemnicze zjawienie się Aleksyi w chacie na dolinie i tylko co miał wydobyć ukryty w tłomoczku pakiecik papierów, gdy służący wszedł do izby i ów tłomoczek wziął na plecy.

— Mój bracie — rzekł Wawerlej — chciałbym zmienić bieliznę.

— Przyniosę jedną z koszul zamkowych, bo ten tłomoczek musi iść na furgon, który w tej chwili odchodzi.

— To widzę, pilno wam bardzo.

— Tak, dosyć, ale otóż i furgon zajeżdża — odrzekł służący i pospieszenie wybiegł z tłomoczkiem.

Wawerlej cały zawrzał gniewem, ale cóż miał robić, czując, że uledek musi przemocy.

— Same zagadki i tajemnice — myślał, przechadzając się po izbie. — Nie mogą pojąć przyczyny takiego ze mną postępowania, i opieki, lecz dziwnej, ale na chwilę mnie nie opuszczającej. Kto ją spełnia i w jakim celu? Wprawdzie winienem jej ocalenie ze szponów Gilifillana, aleć nareszcie nie jestem ani dzieckiem, ani jeńcem wojennym, aby robiono ze mną wszystko wbrew własnej mej woli.

Wtem dał się słyszeć na podwórzu tętent koni

i wszedł służący, oświadczając, że ma już przygotowany dla Wawerleja tłumoczek z zapasem bielizny potrzebnej na czas dłuższy, gdyż z własnymi rzeczami nie prędko się spotka, i że koń gotowy już czeka do podróży. Zeszedł zatem Wawerlej na dół i w towarzystwie dwudziestu zbrojnych ludzi wyruszył z zamku Doune. Byli to wszystko żołnierze na prędce utworzeni, w mundurach niezgrabnych, z bronią nie jednostajną, a choć końmi zręcznie kierowali, ale była to zręczność myśliwych i stajennych, ale nie wyćwiczonych należycie kawalerzystów. Dowódzca oddziału siedział na dzielnym koniu, a chociaż był w mundurze, z tem wszystkiem poznał w nim Wawerlej Falkonera, owego towarzysza uczty w zamku Bradwardine, który się stał powodem tak przykrego zajścia zakończonego pojedynkiem z baronem. Wawerlej, spragniony rozmowy, zobaczywszy go, zapomniał o całym minionem nieporozumieniu, i chciał zbliżyć się do niego, ale w sercu Falkonera widać nie zatarła się pamięć bolesnej rozprawy z baronem, gdyż udał, że Wawerleja nie poznaje i że cały zajęty jest obowiązkami swej służby.

Na czele jechał trębacz, za nim chorąży, brat Falkonera, dźwigał sztandar oddziału, pomimo szczupłej swej

liczby dumnie zowiącego się szwadronem, a za chorążym mieścił się porucznik, człowiek już niemłody i rubasznej wesołości. Wawerlej, przekonawszy się, że porucznik ma ochotę z nim rozmawiać, postanowił korzystać z tej jego chętki gadatliwości i rzekł:

— Piękny mamy wieczór do podróży, panie poruczniku!

— Wyborny — odrzekł zagadnięty — i jest nadzieja, że urodzaje nie chybią.

— Musicie być zapewne kwatermistrzem wojennym?..

— Och! kłopot to kłopot, a owies zawsze w jednej cenie, byleśmy go tylko wszędzie znaleźli po drodze.

— A dokąd jedziemy, jeżeli wolno się zapytać?

— Dokąd? — odrzekł porucznik, podnosząc ramion w górę, i dodał tajemniczym głosem: — zdaje mi się, że cała ta wyprawa to czyste blażeństwo nie do przebaczenia.

— Jakto rozumiecie?

— Tak, tak, bo wystawcie sobie...

Tu przerwał dalszą mowę surowy głos Falkonera, który jadąc bokiem, zawołał:

iem,

ęści
zna-
jaka
Na-
bar-
rze-
kich

mo-
zna-
czę-
za-
zed
wo-
za-
na
de-
nie
nie,
pro-
ran-

— Hej! poruczniku, czy zapomnieliście, że wyda-
łem rozkaz, aby z więźniem nie rozmawiano?

Falkoner zawstydzony natychmiast umilkł i udał się do tylnych szeregów, a Wawerlej pomyślał sobie:

— Więc więźniem jestem, ale czym i na jakim prawie?

Dalszą zatem podróż odbywać musiał w zupełnem milczeniu, gdyż nie chciał się narażać na nowe brutalstwo Falkonera. W parę godzin wreszcie oddział był już w pobliżu Stirling, na którym powiewała chorągiew unii Anglii i Szkocji. Był to zamek obronny, obsadzony wojskiem angielskiem, do którego Wawerlej był prowadzony pod strażą Gilfillana i tak nadspodziewanie uwolniony przez górali. Gdy się zbliżono ku zamkowi, aż do stóp zamkowej góry, Falkoner przez pychę kazał rozwinąć sztandar i zatrąbić na znak wzgardy dla obrońców fortecy. Załoga oburzona takim lekceważeniem, postanowiła ukarać śmiazków, i kiedy oddział tak się zbliżył do dział na wałach leżących, że pocisk mógł go dosięgnąć, buchnął wystrzał, i kula przebiegłszy ze świstem po nad głowami jadących wkopła się w piasek na kilka łokci, obsypując ziemią i konie i ludzi. Jednocześnie w całym szwadronie powstał po-

namysławając się prawie, uchylił głowę przed księciem, oświadczając, że życie swe oddaje na jego usługi.

Był to może zbyt wielki pośpiech, ale w części usprawiedliwiony krewkością młodzieńczą żadną znaczenia i wyniesienia się, oraz niesprawiedliwością, jaka go spotkała, przez ogłoszenie za zdrajcę i zbiega. Następnie ksiązę, ujawszy go pod rękę, co jeszcze bardziej Wawerleja w dumę wbiło, zaczął się z nim przechadzać po salonie, opowiadając szczegóły wszystkich działań dotychczasowych.

— Słyszałeś zapewne — mówił ksiązę — o mojem wylądowaniu z siedmiu tylko towarzyszami i o znacznej liczbie naczelników klanów, którzy mnie, nieszczęśliwego wygnańca, odrazu postawili na czele silnych zastępów. Wysłano przeciw nam wojsko, ale to przed bitwą jeszcze umknęło, zostawiając nam cały kraj otworem. Pędząc też przed sobą dwa pułki kawalerji, zajęliśmy Edyburg, a wódz z Anglikami udał się na statkach do Dunbar i zapewne starać się będzie odebrać nam stolicę. W mojej też radzie panuje obecnie rozdwojenie co do zdania, czy jako słabsi liczebnie, mamy cofnąć się w góry i tam wzmacniając się, prowadzić wojnę odporną aż do otrzymania posiłków z Fran-

cy — czy też mamy działać zaczepnie, aby w wojsku nie osłabiać ducha. Jakież twoje jest zdanie, panie Wawerleju?

Na to zapytanie tak zaszczytne Wawerlej aż się zarumienił z radości, i odrzekł po chwili z wrodzoną mu skromnością:

— Nie śmiem wyrzec zdania wymagającego większego od mego doświadczenia, dziś jednak czuję, że w przedmiocie tym zdanie to byłoby dla mnie najprzyjemniejsze, któreby mi podało możność okazania mego poświęcenia dla waszej królewskiej mości.

— Odpowiedź godna Wawerleja! — odrzekł książę — mianuję cię zatem majorem w moim wojsku i przeznaczam na adyutanta przy moim boku, dopóki pierwszy pułk nie zostanie utworzony i oddany pod twoje dowództwo.

— Niechże ten pułk — odrzekł Wawerlej — będzie przeze mnie i moim kosztem utworzony, nim zaś to nastąpi, dozwól książę, abym uważany był za ochotnika w szeregach mego przyjaciela Fergusa.

— I owszem, zgadzam się na to, — odrzekł książę — a na pamiątkę naszej rozmowy, przyjmij palasz

i pistolety, które, jak widzisz, zawsze noszę przy swoim boku.

Odpasawszy broń, wręczył ją Wawerlejiowi i zwracając się do Fergusza, rzekł:

— Zapewne, pułkowniku Mak Iwor, masz wiele do pomówienia z twoim przyjacielem, idźcie więc, ale pamiętajcie, że was czekam wieczorem. Może to ostatnia noc, którą wesoło razem spędzimy...

— Jakże ci się książę spodobał? — zapytał Fergus Wawerleja, idąc z nim po dużych kamiennych schodach.

— Bardzo, — odrzekł Wawerlej zachwycony — grzeczny, rozumny i wielce uprzejmy.

— Ale daje się łatwo powodować, — odparł Fergus — mnie np. odmówił tytułu hrabiego, jedynie dla nieobudzania zazdrości wśród innych, choć zasłużyłem na tytuł poświęceniem się mojemu przez lat dziesięć dla sprawy Stuartów. Dobrze jednak zrobiłeś, żeś nie przyjął stopnia adyutanta, o który się dwóch stara ze szczególną usilnością, byliby cię znienawidzili.

— Czyż tu u was — zapytał Wawerlej zdziwiony — nikt nie myśli o sprawie, tylko o własnym interesie?

— Cóż robić, mój bracie, jesteśmy ludźmi, mimo to jednak wszystko idzie dobrze, ale na dzisiejszy wieczór musisz się przebrać, bo ubiór na tobie nie bardzo wykwinął.

— Nie moja w tem wina — odrzekł Wawerlej — od chwili rozstania się z tobą dziwne przechodzę koleje i zawsze z tłómaczką jestem rozłączony. Dla czego tak się dzieje, sędzę, że mi wytłómaczysz.

— I owszem, o ile potrafię, ale przedewszystkiem musimy pomyśleć o twoim ubiorze, a przez drogę, zanim dojdziemy do mojej kwatery, opowiedz mi wszystkie swoje przygody.

Fergus słuchał pilnie, a gdy doszli do małego domku, zawołał przez drzwi:

— Hej! Kallum, zawołaj mego krawca i powiedz mu, aby w przeciągu czterech godzin przygotował dla pana Wawerleja tartan, krótkie spodnie, szarą, niską czapkę, zieloną kamizelkę ze srebrnym sznurem, puklerz i parę trzewików na wysokich obcasach. W tym stroju, kochany Wawerleju, będziesz wyglądał, jak prawdziwy syn z rodu Iwora. Ruszaj więc, Kallumie, i spraw mi się dzielnie. Co zaś do twoich przygód — mówił dalej Fergus, zwracając się do Wawerleja — wi-

dzę jasno, że byłeś pod dozorem Donalda, i że on to odegrał rolę kramarczyka. Dziwię się tylko, znając jego skłonność do rabunku, że cię nie obrał ze wszystkiego i nie wymusił okupu. Coś w tem jest tajemniczego!..

— Kiedy dowiedziałeś się o mojem uwięzieniu, Fergusie?

— Sam książę mi o tem powiedział, dodając, że musisz się znajdować w mocy oddziału północnego naszego wojska. Ja zaś poradziłem, aby cię jako jeńca sprowadzić do Edynburga, abyś na wszelki wypadek mógł się wytłómaczyć, że siłą do tego zmuszony zostałeś. Postępowanie Falkonera jasno pokazuje, że ci nie może przebaczyć pojedynku z baronem Bradwardine, i że przez zemstę zapewne zajął to przedstawił w taki sposób, iż się wielce przyczynił do krzywdzących wieści, jakie ci w pulku zaszkodziły. Ale niech go tam Bóg kocha! Co było to było, a my cieszymy się dniem dzisiejszym, zwłaszcza mającym się zakończyć koncertem i balen. Oprócz mnie znajdziesz tu i innych znajomych, jest i baron Bradwardine..

— Ach! jakże się cieszę...

— Otóż i on sam, jeszcze wyższy i cieńszy w mundurze wojskowym niż jest rzeczywistość.

— Wawerleju, kapitan Wawerleju! — zawołał baron, poznawszy go zbliżającego się do siebie, i prostując się odpowiednio do powagi swego stopnia wojskowego, dodał:

— Szczerze się cieszę i winszuję ci, kapitanie...

— Już jest majorem, baronie — przerwał Fergus — ksiązę go dziś nim mianował.

— Więc cieszę się, majorze, — ściskając rękę Wawerleja, mówił baron — że cię widzę w służbie prawego monarchy. Chociaż wprowadzić słusznie przelamanie *sacramentum mili'are* za wstyd i za hańbę jest uważane, nikt przecie nie wątpi, aby każdy obowiązek nie ustawał przez tak zwane u Rzymian *dimissio*. W moim wie Tuliusa przeciw Werresowi... ale nie będę was nudził wywodami dalszemi, młodość w starożytności nie bardzo smakuje, a jednak z niej czerpiemy całą mądrość i nic dotąd lepszego nie wymyśliliśmy. A zatem, majorze, jesteś między nami...

— Tak, panie baronie, i pozostanę między wami temże co wy ożywiony uczuciem. Gdzież jest panna

Róża, która mnie tak życzliwie w Tully-Weolan przyjmowała?

— Jest razem z Florą Mak Iwor w naszym Edyμβurgu, bo niestety dalszy pobyt w zamku groził wielkiem niebezpieczeństwem. Dziś, majorze, zobaczysz się z niemi na przyjęciu u księcia, ale ja tu gadu — gadu, a tam w parku królewskim czekają na moje przybycie. Przytem zaczyna mi głód dokuczać...

— Wybornie! — przerwał Fergus — zapraszam cię więc, baronie, na obiad żołnierski, a chociaż w potrzebie umiem żyć jak góral, dziś jednak z powodu przybycia Wawerleja ucztę kazałem przygotować prawdziwie królewską.

Baron chętnie przyjął zaproszenie i oświadczył, że o trzeciej dopiero stawi się w miejscu wskazanem.

Kiedy dzięki pamięci Kalluma i jak sam powiedział jego kuksaniu, krawiec wykończył potrzebne dla Wawerleja ubranie, ten przybrawszy się w nie, wyglądał tak dziarsko i zgrabnie, że Ewan szepnął do gospodyni pod świecznikiem:

— Dziś młodzienc, wygląda tak ślicznie, że mu się napatrzeć nie można, a nawet zapewnić mogę, że umie dobrze robić mieczem i puklerzem.

— Och! te wasze miecze i puklerze! — z westchnieniem rzekła gospodyni — stoją mi kością w gardle.

— Leb na leb, szpony na szpony! — odrzekł wesolo Ewan — tak mówi zawsze pułkownik Fergus i mówi mądrze...

— Mówi po waryacku, — przerwała gospodyni z oburzeniem — bo gdzie się biją, tam i zabijają, może więc i pułkownik Fergus być zabitym. Mój Boże! taki młody, taki miły...

— Tak, to prawda — szepnął Ewan — niech go Bóg strzeże od podobnego nieszczęścia... ale gdyby zginął... nie przeżyłby go Ewan, pani gospodyni!

Gospodyni spuściła głowę smutnie, co Ewan zobaczywszy, wyprostował się i rzekł, zmuszając się do wesołości:

— Jutro rozprawimy się z panami Anglikami, na bok więc smutki, co się więc stanie jutro, Bogu tylko wiadomo, ale dzisiaj chcemy żyć i choć ostatni zjeść obiadek; rozkażcie Kasi, żeby nakryła do stołu, póki pierwszego miejsca nie zajmiecie.

W pół godziny później obiad był już gotowy. Gospodyni siadła na pierwszym miejscu, obok niej Wa-

werlej i baron, a na przeciw Fergus w sąsiedztwie intendenta zamku Bradwardine. Obiad jak na owe czasy był wyborny. Fergus wszystkich bawił wesołym humorem. Odważny, żywy, młody, chciwy sławy, widział w wyobraźni swojej najśmielsze nadzieje pomyślnym uwiecznionym skutkiem, a na los, jaki go w bitwie mógł spótkać, obojętnym spoglądał okiem. Baron przepraszał obecnych, że przyprowadził z sobą intendenta.

— Obadwaj — rzekł — myśleliśmy nad wydatkami wojny, które nie mało wyniosły przy stworzeniu oddziału jazdy.

— Więc baronie, nie otrzymaliście żadnego zasilku — zapytał Fergus — choć utworzyłeś szwadron jedynie godny tej nazwy?

— Żadnego, pułkowniku, zrećniejsi uprzedzili mnie i gdy zażądałem pomocy, w skarbcu księcia już były puszki.

— To hańba dla naszej sprawy! — zawołał Fergus — podziel się więc, zacny baronie, tem co posiadam, bo jutro wszystko nam jedno, co kto w worku swem znajduje.

— To i moją przyjmij pomoc, baronie! — odezwał się Wawerlej, wyjmując kieszę z kieszeni.

— Dziękuję wam, zacni młodzieńcy! — odrzekł baron wyciągając ręce. — Nie chcę uszczuplać waszego *peculium*, gdyż intendent postarał się o potrzebną kwotę.

— Tak, to prawda — rzekł intendent — ale są jeszcze rozmaite okoliczności, w których pomoc podobna...

— Nawet się nie odzywaj z podobnemi bzdurstwami! — przerwał gniewnie baron — i rób tak jak ułożyliśmy.

— Kiedy interes mi się nie udał — zawołał Fergus — trzeba iść do innego bankiera.

To rzekłszy, dobył z worka pięć dużych sztuk a resztę wsypawszy na serwetę gospodyni, mówił dalej:

— Com wziął, wystarczy na moje potrzeby, co zostaje, weź, pani Edyto, dla siebie: — za życia bądź moim bankierem, po śmierci dziedzicem, tylko nie żałuj góralskim grabarzom, którzy po ostatnim z rodu Wich-Jan-Wohr, najgłośniejszą pieśń umarłych śpiewać będą.

— Otóż to jest prawdziwe *testamentum militare*, — rzekł baron — które u Rzymian mogło być

ustnie zrobione... ale czegoż to tak płaczesz, pani Edyto?

— Weźcie, Fergusie Mak-Iwor, wasze złoto! — mówiła z jękiem gospodyni, obcierając oczy fartuskiem — nie chcę go i znać, gdy go mam posiąść z waszą zgubą.

Fergus nalegał, gospodyni była niewzruszoną, i pomimo przedstawień zebranych gości Fergus odebrał złoto i rzekł:

— Kiedy gardzicie, pani Edyto, moim darem, to jeśli zginę, zasób mój niech się dostanie temu grenadyerowi, który mi robi tę przysługę.

— Możeby lepiej — rzekł intendent — na wypadek tak nieszczęśliwy, aby pieniądze oddane zostały mnie w depozyt dla mis Flory Mak-Iwor...

— Nie przyniosłoby to jej żadnej ulgi — przerwał Fergus — bo są nieszczęścia, które ani głodu, ani pragnienia nie znają, a biedna Flora...

Tu umilkł Fergus i iza zakreśliła mu się w oku; baron wspomnił sobie na wypadek swej śmierci o sieroctwie Róży, i zaraz duża kropla błysnęła w oczach starego żołnierza.

— Jeżeli zginę — rzekł do intendenta — masz wszystko w rękę, bądź więc sprawiedliwym dla Róży.

Intendent, szczerze przywiązany do domu Bradwardine, załkał głośno:

— Gdyby okropny ten dzień miał przyjść — rzekł — a posiadałbym jeden tylko grosz przy sobie, to i ten do panny Róży należeć będzie. Nie zazna ona i w tym razie niedostatku, a piękna baronia..

— Jakież smutne myśli — przerwał Fergus — opanowały nas, jakbyśmy na stypę pogrzebową zgromadzili się, a nie na obiad żołnierski. Dajmy pokój przyszłości... i ta jest wprawdzie naszą, ale rozporządzać nią nie możemy. Moja siostra Flora nie zostanie skazaną na tulactwo, wy baronie Bradwardine, wróćcie do swego Tully-Wedlan, panna Róża do książek i gospodarstwa, a szanowny intendent do interesów, z których kosztą wystawiania szwadronu raz na zawsze wykreślone zostaną. Wnoszę zatem toast za powodzenie naszej sprawy i pognębienie nieprzyjaciół!

Toast z zapalem spełniony został, wzniesiono po trzykroć głośne wiwaty, uśmiech zajaśniał na twarzach zgromadzonych i wszyscy ożywioną rozpoczęli rozmowę.

— Panowie! — rzekł Fergus — jeszcze jeden przynależy nam toast... Zdrowie naszej gospozi z pod świecznika. Niech żyje jak najdłużej, niech nas karmi i poi i... zaprosi na wesele..

— Ach! panie Fergusie, jakże możesz! — przerwała, rumieniąc się Edyta — podobne ze mnie stroić żarciki.

— Żarciki? a niech Bóg broni! — odparł Fergus. — Gdybym nie był tak młody, pierwszybym stanął w rzędzie waszych, piękna Edyto, wielbicieli..

— I ja także! — odezwał się baron, — gdybym nie był taki stary, ale jeżeli piękna Edyta nie pogardzi grzecznością starego barona, to gotów jestem czuła wymuskać, wąsy zakręcić i wygalonować się jak najpierwszy modniś edymburski.

— Brawo, baronie! — zawołał Fergus — ale nie zapominajcie, że równemi grzecznościami obsypujecie Florę, a ona zazdrosna...

— Pst! — syknął baron — nie wydawaj mnie, pułkowniku, z sekretu. A ty piękna i dobra Elyto, pozwól, że na dowód mego szacunku, ucałuję ci rękę, którą chętnie swojąbym nazwał.

Przy tych słowach baron powstał, wyprostował

się i z uczuciem prawdziwego szacuuku ucałował rękę gospodyni, a za nim poszli drudzy, czem tak się pomieszała i rozczuliła, że nie tylko twarz jej okryła się szkarlatem, ale oczy i za ozdobiła.

— Zawstydzacie mnie panowie swoją dobrocią — rzekła wreszcie. Tak uboga jak ja kobieta, czemże mogłam zasłużyć na zaszczyt, jakim mnie obdarzyliście? Pamięć dzisiejszej uczy zapiszę na wieki w mojem sercu, nie zagaśnie ona nigdy, a że swatów zwyczaj każe uczestować tem, co się ma w domu najsmaczniejszego, przyniosę więc nalewki owocowej, jakiej równej w dobroci i smaku nie prędko znajdziecie.

— Wybornie! — zawolano chórem i zaklaskano, a gdy pani Edyta wyszła dla spełnienia obietnicy, uczujący zaczęli rozprawiać o wypadkach politycznych, wspomagając się wesołością i żarcikami. Wkrótce rozeszli się goście, i Wawerlej z baronem i Fergussem poszli do zamku Holly-rood w nadzwyczaj wesołym usposobieniu.

— Mój panie Edwardzie — rzekł baron — w nowym tym stroju wyglądasz tak zgrabnie, że podobno między pierwszymi za pierwszego uznanym zostaniesz.

— Za pozwoleniem, — rzekł Fergus — nie za-

pominaj o mnie, baronie, i nie siej niezgody między braćmi wywyższaniem urody jednego nad wszystkich.

— Czyż to ja panną jestem, że tak dbacie o moją pochwałę? — zapytał baron, prostując się. — Wprawdzie w młodych latach występowałem w teatrze amatorskim, jako młodziutka panienka, ale wtenczas nie byłem jak tyka od chmielu, tylko jak przecik przy pięknej róży.

— Ach! jaka szkoda — rzekł Wawerlej — żem barona w tej roli nie widział.

— Lat to temu już czterdzieści, mój bracie, — odrzekł baron — byłem młody i gładki, dziś krzepki jestem jeszcze, alem... starzec... czas nie ma litości, biegnie i zdmuchuje młodość jak pyłek z kwiatka, a potem gnie kark i przychyła do ziemi.

— Baronie! — zawołał Fergus — precz ze smutkami! Dziś nowa nam zajaśniała zorza, cieszymy się nią i piosnką weselmy!..

I to wyrzekłszy, podskakując śpiewał:

Moi przyjaciele,
Dzisiaj się weselę,



A więc za mną w tan!
Bom ja pan, jam pan!

Tak żartując, dostali się do pałacu Holly-rood,
w którym zaraz ich zameldowano z oznakami wielkie-
go uszanowania.

ROZDZIAŁ II.

Do nieszczęśliwych wydarzeń w roku 1775 nale-
żeli członkowie bogatych rodzin i wszystkie niemal
szkockie damy. Wawerlej, który żywot swój spędził
w cichym zamku swego stryja, wszedłszy do salonu,
olśniony został świetnością zgromadzenia osób znanych
z dostojności i starożytności rodu. Wpratrzywszy się
w nie, zaraz postrzegł Flore i Różę Bradwardine, jak
trzymając się pod ręce, szły przez salon ku swemu
miejscu. Ponieważ muzyka przygrywała i taniec szedł
ochoczy, Wawerlej nie mógł się ze znajomymi sobie
pannami przywitać, ale gdy tancerze usunęły się na
stronę, razem z Fergussem podszedł ku nim.

— Przedstawia ci, siostró—rzekł Fergus — przy-

branego syna Iwora, w którym masz zarazem wiernego ci przyjaciela.

— Witam go, jak drugiego brata — odrzekła Flora z powagą jakby królewską — i cieszę się, że go liczymy do obrońców świętej naszej sprawy.

— A ja się cieszę, — odrzekł Wawerlej — że mam przyjemność razem z paniami znajdować się w jednym towarzystwie. Tak dawno już nie widzieliśmy się.

— Prawda, — rzekła Róża z ożywionym uśmiechem — tak dawno, że zaledwie was, kapitanie, poznałam.

— Za pozwoleniem, — rzekł Fergus żartobliwie — mój przyjaciel Wawerlej, przez księcia mianowany został majorem. Proszę więc panny Róży o zapomnienie tytułu kapitana.

— Przepraszam, stokrotnie przepraszam pana majora! — zawołała Róża z udanym przestrawieniem. Tu tytuły i awanse sypią się jak z rękawa, łatwo więc nie wiedzieć lub zapomnieć.

— Tembardziej — rzekł Wawerlej — gdy awans spotkał mnie dziś rano dopiero.

Następnie zwrócił się do Flory, pragnąc zawiązać

z nią rozmowę, ale podszedł ku niemu książę i wzięwszy pod rękę, oprowadzał po salonie, wypytując się o różne osoby w Anglii mieszkające i ich przekonania polityczne. Widocznie jednak nie o to szło księciu, bo gdy miał się z nim rozstać, nagle rzekł, jakby sobie coś przypomniał.

— Ale, ale mój młody przyjacielu, dowiedziałem się, że dla Flory Mak-Iwor ze szczególną jesteś życzliwością. Cieszy mnie to niewymownie, ale nie zapominał, że dziś ci oświadczyła, iż wita cię jak brata, uważając ją więc za siostrę i nie więcej.

To rzekłszy, pożegnał Wawerleja po przyjacielsku.

— To przestroga — szepnął do siebie Wawerlej — abym o małżeństwie z nią nie pomyślał nawet. Prawda, że miałem ten zamiar, ale dziś przekonałem się, że panna Flora przybiera wszelkie oznaki powagi dumnej monarchini, jakżeby więc mogła przyjąć rękę człowieka nie odzianego purpurą monarszą? A może małżeństwo jej z księciem już ułożone? Być może, w każdym razie, mało mnie to obchodzi: panna Flora jest osobą rzadkich przymiotów, ale i ja także nie jestem bez pewnej wartości.

Ledwie upłynęła godzina, muzyka dała znak rozejścia się powszechnie przyjętym w Szkocyi obyczajem.

— Dobra noc! zatem, moi zacni goście! — rzekł książę, powstając z siedzenia. — Niechaj radość, jakiej dziś doznaliśmy, będzie przepowiednią zwycięskiego powrotu do siedliska przodków naszych i zapowiedzią częstszych podobnych zebrań w starożytnym pałacu Holly-rood.

Wawerlej, różnemi miotany uczuciami, nie prędko usnął; śniło mu się, że był w zamku swego przyjaciela Fergusa i że przysłuchiwał się piszczącemu głosowi piszczalki, zwykle używanej w oddziałach zbrojnych górali. Zerwał się żywo z posłania i poznał zaraz, że głos ten, to nie złudzenie senne, ale że rzeczywiście pierwszy piszczyk klanu Mak-Iwor przechodził pod oknami Fergusa, i jak się zwykle wyrażano. dudlił tak, że się aż mury i podwoje trzęsły. Jednocześnie dało się słyszeć ciężkie stąpanie po schodach, i wszedł Kallum, przeznaczony do posługi Wawerleja.

— Wasza dostojność — rzekł — raczy przygotować się do pochodu, gdyż Wich-Jan-Wohr i książę już są za pagórką w dolinie i wkrótce ruszą w drogę.

Ho! ho! nim słońce zajdzie, już nie jednego z nas nie znajdziemy w szeregach.

— To więc spodziewacie się tak prędko spotkania z nieprzyjacielem? — zapytał Wawerlej, kładąc na siebie pośpiesznie ubranie.

— Tak się spodziewać należy — odrzekł Kallum — sądząc po spiesznem wyprawieniu wszystkich furgonów z rzeczami obozowemi. Tłómczek waszej dostojności już także poszedł z rzeczami naczelnika Fergusa.

— Jaka szkoda! — zawołał Wawerlej — chciałem właśnie mieć go pod ręką, a w myśli dodał: jakaś fatalność ciągle mi przeszkadza do przejrzenia papierów z taką tajemniczością włożonych przez córkę Donalda. Co w nich może się mieścić? Wychodząc z pomieszkania, zupełnie już przygotowany do podróży wstąpił na pożegnanie do gospodyni, w której z taką gościnnością był przyjmowany, i przypomniawszy wczorajszy obiad uprzyjemniony jej towarzystwem, uściśnął rękę zacnej kobiety na pożegnanie, życząc jak najlepszego we wszystkim powodzenia.

— Czyż mogą się go spodziewać, — odrzekła pocziwa kobieta ze łzami w oczach — gdy taka piękna

i dorodna młodzież jak wy, panie Wawerleju, i pełen wesołości Fergus, gdy tacy zacni starcy, jak baron Bradwardine, rzucacie się w niebezpieczne wyprawy wojenne, wystawiając na szwank zdrowie swe i życie?

— Bądźcie dobrej myśli, zacna gospośiu! — odrzekł Wawerlej. — Gdy wrócimy z wyprawy, zamawiam sobie znowu waszą gościnną strzechę, dziś pokładamy w Bogu nadzieję.

Minawszy błotnisty plac i wydobywszy się z brudnych przedmieść stolicy, Wawerlej dostał się na wierzch pagórka i ujrzał przed sobą dolinę z rozłożonym na niej obozem górali. Odgłos piszczałek odbijał się o skały, oddziały porządkowały się, przechodziły, zatrzymywały się ze swobodą tak konieczną we wszystkich wojennych obrotach. Wkrótce te porozrzucane i ruchome zastępy, rozwinęły się i długim szeregiem zaczęły przechodzić dolinę. Na czele powiewała chorągiew księcia, z wyobrażeniem krzyża czerwonego na białym polu; nieliczna jazda, złożona ze szlachty po większej części i z jej domowników, tworzyła przednią straż wojską, za nią posuwały się oddziały piesze z licznymi bardzo chorągwiami, a od fortecy spieszyły placówki

do których dawano ognia z dział w warowni znajdujących się. Całość szczególniej tworzyła obraz wielce zajmujący, bliżej jednak rozpatrywana traciła wielce na swej wartości. Starszyzna każdego klanu była dostatecznie we wszelką broń zaopatrzona, lecz podwładni jej byli w ubiorze dowodzącym największego ubóstwa. Uzbrojeni jeszcze gorzej, na wpół nadzy, smutny przedstawiali widok: ten miał siekierę, tamten miecz bez pochwy, ten znowu strzelbę bez zamku, a ów kosę na prostym osadzoną kij. Któż więc weźmie za złe Wawerlejewi, który dotąd górali znał tylko powierzchownie, że całą odwagę stracił, ważąc na szali rozsądku szalone przedsięwzięcie garstki czterech tysięcy ludzi chcącej wstrząsnąć posadą tronu królów angielskich? Ze smutnie zwieszoną głową siedł jednak, zmuszony dziwnymi okolicznościami do awanturniczego przedsięwzięcia, i nie bez trudności dostał się na miejsce, które Fergus z oddziałem swoim w bojowym zajmował szyku. Gdy go ujrzano, oddział zatrzymał się i przy odgłosie trąb góralskich przyjęto towarzysza z okrzykami radości. Fergus uściskał go serdecznie i zawołał z wesołością:

— Ach, ty, śpiochu, jakże mogłeś tak długo ma-

rudzić! Ale czekaj, mam dobre wieści: nieprzyjaciół pragnie dostać się do morza, aby odebrać nam Edyburg, ale ze wzgórz, do których dochodzimy, spadniemy na niego jak jastrząb na stado kuropatw. Baron w przedniej straży zapewne za chwilę zetrze się z nieprzyjacielem.

Niedługo wojsko zatrzymało się na wyznaczonym stanowisku i kiedy miało się rozłożyć dla wypoczynku, przybiegł spiesźnie posłaniec, wzywając Fergusa do księcia i donosząc, że baron Bradwardine miał małą utarczkę, skutkiem której przysłał kilku jeńców schwytanych nieprzyjacielowi.

— Jeden z nich ciężko ranny — mówił dalej posłaniec — leży w pobliskiej chacie i zapewne lada chwila skończy męki doczesnego życia.

— Jakto — zapytał Wawerlej — i nikt mu najmniejszej opieki nie udziela?

— Albo to on jeden podobnie opuszczony — odrzekł posłaniec i pospieszył za Fergussem idącym do kwatery księcia.

Wawerlej udał się zaraz we wskazane miejsce i zobaczył człowieka leżącego na ziemi, okrytego płaszczem dragońskim pulku, w którym niegdyś służył. Cho-

ry jęczał, skarżąc się na okropne pragnienie. Wawerlej przytknął mu do ust manierkę z wodą i winem, a gdy biedak dziękował za pokrzepienie, wpatrując się w oblicze ratującego go młodzieńca, ten poznał w nim Houghtona, sierżanta, z dóbr stryja do wojska zaciągniętego.

— Ach! panie Edwardzie, — rzekł chory ledwie dosłyszczanym głosem — jakże się cieszę, że cię zobaczyłem. Zrobiliśmy to, o co do nas pisałeś... byliśmy przygotowani do pójścia za twoim przykładem... ale dla czego nas opuściłeś? Wszakże listy były od ciebie, bo poznałem na nich twoją pieczętę...

— Oszukano was, — rzekł Wawerlej — pieczętka została mi skradzioną.

— Skradzioną? — powtórzył sierżant, — a ten niegodziwiec Donald klął się na duszę i ciało, że z waszego przybył do nas rozkazu...

— Nie męcz się mówieniem — przerwał Wawerlej, zajmując się przygotowaniem bandażu i maści, dam ci chwilową pomoc, a później przysięę którego z górali do dozoru i opieki nad tobą.

— Mnie się też to w głowie pomieścić nie mogło, — mówił dalej sierżant — aby młody nasz pan na-

leżał z własnej woli do szaleństw górali, skorych zawsze do zawichrzeń i poparcia upadłych Stuartów. Macie jednak, panie Edwardzie, ich strój na sobie...

— Bo i mnie jak was oszukano, wstrzymano wszystkie listy pisane przez pułkownika do mnie, a wzywające do powrotu, i skutkiem tego naraziłem się na takie podejrzenia, że zostałem ścigany, jak zbrodniarz, schwytany w powrocie do Anglii i oddany pod sąd, który w chwilach tak niespokojnych, bardzo często sądząc tylko z pozoru, wydaje wyroki potępiające. Górale uwolnili mnie z pod prowadzącej mnie straży i tym sposobem zmuszony zostałem do przyłączenia się do wojsk księcia Stuarta.

— Wierzę ci, panie Edwardzie, zawsze byłeś szlachetny i rozważny... Ale stało się... teraz słuchajcie... Porzuć górali, a gdy powrócisz do Wawerlej Honour... nie zapomnij o biednej mojej matce i powiedz... że ostatnia moja myśl jej będzie poświęconą... ostatnie słowa, jakie wyrzeknę... będzie modlitwa do Boga o jej szczęście.

— Spełnię wszystko! — odrzekł Wawerlej, tłumiąc łkanie, wydobywające mu się z piersi.

— Dziękuję wam, dzięki! — zawołał sierżant z wy-

silkiem, oto krzyżyk dany mi przez nią przy pożegnaniu... strzegłem go jak relikwii świętej i modliłem się, trzymając go przy ustach... oddaj go mojej biednej matce...

Wawerlej, opatrzywszy rany umierającego, wybiegł z chaty i spotkawszy idącego Fergusa z powrotem od księcia, poprosił go o pomoc kilku górali dla dalszej opieki nad rannym. Zaraz też Kallum spełnił wydane sobie rozkazy, co innym góralom niezmiernie się podobało i zyskało wszystkich serca dla Wawerleja, za troskliwość okazaną względem rannego nawet nieprzyjaciela.

— Wyborne mamy wiadomości — rzekł Fergus — ciesz się, bracie, najdalej za dwie godziny spotkamy się z nieprzyjacielem. Książę sam stanął na czele naszych sztyków wojennych. — I wydobywając szablę zawołał: — Bracia, odrzuciłem pochwę, bo nam nie będzie potrzebna w walce, jaką rozpoczniemy! Chodź więc, Edwardzie, na stanowisko!

— Sierżant już nie żyje — rzekł w tej chwili z chaty Kallum — umierając, wyszeptał błogosławieństwo dla was, panie majorze, i polecił matkę opiece Boskiej...

— Niech spoczywa z Bogiem! — rzekł Wawerlej, ocierając łzy — teraz gotów jestem spełnić przyjęte obowiązki.

Ruszono więc pośpiesznie za kolumną szybko postępującą dla zajęcia stanowiska przy drodze prowadzącej do brzegów morskich, którą nieprzyjaciel miał przechodzić. Doszedszy do wzgórza, wojsko górali stanęło w bojowym porządku i jednocześnie prawie pomiędzy drzewami i krzakami ukazała się straż angielska w celu opanowania równiny oddzielającej wzgórza od morza. Ponieważ przestrzeń nie była wielką, przeto Wawerlej mógł wyraźnie widzieć szwadrony dragonów, jak te jedne po drugich poprzedzone czatami wychodziły z wąwozu i rozwijały się, stawiając czoło nieprzyjacielowi. Za nimi postępował park artylerii, którą natychmiast przeciwko wzgórzom obrócono, dalej postępowało kilka pułków piechoty z nasadzonemi bagnietami, które jakby nieprzerwany płot ze stali błyszczwały.

Jednocześnie oddziały góralskie, opanowawszy wzgórza, natychmiast wyciągnęły linię i obie strony były w zupełnej gotowości do walki. Potem górale wydali krzyk przeraźliwy, a wzgórza i lasy równie przeraźliwem echem na to odpowiedziały. Wojsko an-

gielskie, równym ożywione zapalem, na okrzyk wojenny gromkim odpowiedziało okrzykiem i dało ognia do nieprzyjacielskich placówek. Ponieważ grunt, po którymby górale schodzić musieli w natarciu był błotnisty i przecięty głębokim rowem, wysłano przeto kilka oddziałów strzelców dla ucierania się z nieprzyjacielem i rozpoznania miejscowości. Przed czołem obu linii rozpoznać można było sztaby główne i naczelnych wódzów, z perspektywą w ręku rozpatrujących jak najstaranniej poruszenia przeciwników, wydających rozkazy i odbierających raporta od oficerów, przybywających co chwila z wielkim pośpiechem! Pomiędzy temi wojskami strzelcy na równinie ucierali się z nieprzyjacielem i co chwila widziano spadającą tu czapkę, tam kapelusze, lub unoszonego z pola bitwy rannego. Były to jednak mało znaczące utarczki, zapowiadające tylko walną bitwę, jaka miała się rozpocząć. W niewielkiem oddaleniu stały w zatoce dwa okręty z banderą angielską z rozpiętymi żaglami, a z pobliskich wiosek ludność tłumnie uciekała ku lasowi, dźwigając na plecach pakunki z częstką swego skromnego mienia. Na masztach okrętowych pełno było pouczeńianych cieka-

wych, pragnących przypatrzeć się mającej nastąpić bitwie.

Po niejakej chwili tego strasznego oczekiwania, Fergus posunął się dla zajęcia poblizkiego cmentarza, aby zmusić nieprzyjaciela na prawem skrzydle do opuszczenia stanowiska. Dla zniweczenia tego zamiaru, generał angielski wysłał dwa oddziały jazdy, które tak się blisko podsunęły, że Wawerlej mógł poznać sztandar szwadronu, którym sam niegdyś dowodził. Zabiło mu serce żywszem tętnem, a gdy spojrzał na swój ubiór, zdawało mu się, że to sen tylko, z którego lada chwila wróci do przytomności. Górale byli ukryci po za wałem kamiennym okalającym cmentarz, i kiedy Wawerlej przypatrywał się obrotom jazdy nieprzyjacielskiej, nagle ujrzał dawnego swego pułkownika obchodzącego się z nim z tak prawdziwie ojcowską życzliwością, zbliżającego się ku miejscu zajmowanemu przez oddział Fergus. Kallum też przy nim będący uśmiechnął się skrycie i opierając broń na wale kamiennym wymierzył ją w piersi pułkownika.

— Kallum! — zawołał Wawerlej, kładąc rękę na ramieniu jego — daruj mu życie, proszę cię o to, mój bracie!

— Darować mu życie, nieprzyjacielowi? — cichaczem odrzekł Kallum z wielkim podziwem.

— Tak, mój bracie, człowiek to zacny, był moim dowódcą, kochał mnie jak syna, a ja go jak ojca szanowałem.

— Niech więc żyje!.. to co innego! — odrzekł Kallum, broń z walu zdejmując. — Jesteście, majorze, dobrym żołnierzem i towarzyszem, muszę wam być posłusznym.

Pułkownik, nie przeczuwając nawet jakiego uniknął niebezpieczeństwa, zwrócił konia i wolno odjechał na czoło swego pułku.

Podczas tych wzajemnych obrotów i starań o zajęcie jak najdogodniejszych stanowisk, słońce spuściło się ku zachodowi; oba zatem wojska postanowiły pozostać przez noc w miejscach, które zajmowały.

— Piękny wieczór — rzekł Fergus do Wawerleja — zanim więc pokrzepimy się, choć chwilowym spoczynkiem, pójdźmy zobaczyć, co się dzieje w tylnej straży u barona Bradwardine. Wawerlej chętnie się zgodził na tę wycieczkę; zbliżając się do zajmowanego przez barona stanowiska, nie mogli się dość nadziwić przezorności, z jaką ten doświadczony żołnierz nocne

porozstawiał strażę. Doszedłszy wreszcie do samego stanowiska, zobaczyli go stojącego w pośrodku wojowników i głosem donośnym czytającego wieczorne modlitwy. Niebezpieczne położenie oddziału, zbrojna postawa słuchaczy, konie osiodlane, wszystko to połączone z pobożną czynnością, głębokie i uroczyste sprawiało wrażenie. Fergus z Wawerlejem, zdjawszy czapki, przyłączyli się do modlącej się gromadki i w ciszy swego ducha, ze szczerą pobożnością powtarzali słowa głoszonej modlitwy.

— Teraz, dzieci moje! — odrzekł baron, zamykając książkę — gdyście oddali cześć Bogu przynależną, układźcie się na spoczynek, aby wzmocnić ciało do czekającej nas pracy. Kto z Bogiem, to Bóg z nim, — mówił jeszcze Sokrates, — a to największa mądrość zasłużyć na taką opiekę.

To powiedziawszy, zwrócił się następnie do młodych swych gości i prostując się, rzekł:

— Dziękuję wam serdecznie za pamięć o starym waszym przyjacielu. Gdyby ten zaszczyt spotkał mnie w baronii Bradwardine, przyjąłbym was sutą zastawą, w którejby i o kielichu wielkiego niedźwiedzia nie zapomniano. Gdy inaczej wypadki zrzędziły, siadajcie

ze mną na ziemi, a uczestuję was gawędką godną żołnierzy, czuwających nad bezpieczeństwem całego obozu.

Rozmowa była bardzo ożywiona, oczekiwanie na walną bitwę dostarczyło do niej wątku bardzo obfitego, tem bardziej, że baron pełen był najlepszej nadziei powodzenia.

— Tam, naprzeciw nas, — mówił baron, wskazując na obóz nieprzyjacielski — dowodzi widocznie głowa albo bardzo młoda jeszcze albo niedoświadczona. W całym zajęciu stanowisk niema ani řadu, ani składu. Pragnę nam Edyburg odebrać, a trzymają się tylko odpornie, gdy to jest niewątpliwem, że kto chce co wziąć, musi do tego rękę wyciągnąć. Z takimi partaczami damy sobie radę, a teraz dobra noc wam, młodzi przyjaciele! Żegnam was, żegnam!

Rzekłszy to, baron owinał się płaszczem i położył na ziemi, zaleciwszy zastępcy czujność i przezorność. Wawerlej, wracając z Fergussem do swego stanowiska, usłyszał łoskot bębnow i gwizdanie wtórujących mu piszczałek, przedzierających się aż na wierzchołek wzgórza. Głosy te nagle ucichły, znowu się podniosły i znikły w nocnej ciszy. Później trąbki jazdy zagrały piosnkę, zrazu żywą i wesołą, w końcu smutną i przeciąglą

jakby jęczącą nad losem tych, którzy jej hasła słuchali. Młodzi ciągle szli w milczeniu; na zachodzie błyszczały gwiazdy, ale gęsta mgła, podniósłszy się z oceanu, w białych kłębach roztoczyła się po równinie zajętej przez wojsko angielskie; w pewnych odstępach świeciły porozpalane ognie, których blask ciemny i posępny lśnił się w pośród mgły, jak jasne koła czasami słońce lub księżyc otaczające. Górale leżeli na grzbiecie pagórka jeden obok drugiego i oprócz straży wszyscy twardo spali.

— Ach! Fergusie, — rzekł Wawerlej — iluż z tych dzielnych chłopców nim jutro słońce zajdzie jeszcze mocniej spać będzie?

— Cóż robić, mój bracie? — odrzekł Fergus — taka dola ludzka.

— Nie, to nie dola, ale złość ludzka, która w nieporozumieniach każe silniejszemu mieć słuszość.

— Uwagi podobne zostawmy na później, — odrzekł Fergus wesół — gdy Stuartów przywrócimy do praw im służących. A teraz zapraszam cię na towarzysza mego żołnierskiego łoża — mówił dalej okręcając się pędem i kładąc na ziemi. Obszerne ono i miejsc ci nie zabraknie.

Wawerlej poszedł za przykładem towarzysza, Kalum pozostał na straży i siedząc w głowach młodzieńców, zaczął nucić długą pieśń grubym i jednostajnym głosem, podobnym do szumu dalekiego wiatru, co też wkrótce młodzieńców uspiło.

Po kilkogodzinnem śnie obudzono ich, wzywając do księcia. Zegar pobliskiej wieży właśnie wybił trzecią: książę siedział na wiązce grochowin, która mu służyła za posłanie otoczony starszyzną wojskową.

— No, panowie! — rzekł książę — udzielę wam dobrej nowiny, która was z pewnością ucieszy. Jeden z zaufanych naszych przyjaciół podjął się przeprowadzić nas przez błota na równinę, którą nieprzyjaciół zajmuje. Rzecz to niezmiernie ważna, dalej więc, przyjaciele, na swoje stanowiska!

Wiadomość ta ucieszyła wszystkich niewymownie: każdy pospieszył do swego oddziału i w największej ciszy kazał się wszystkim przygotować do pochodu. Gdy klan Fergusu zbliżył się do twardego gruntu, usłyszano nagle wśród mgły zasłaniającej wszystko wołanie placówki:

— Kto idzie?

Nie na to nie odpowiedziano, tylko starano się

jeszcze ciszej ustawiać w szereg na równinie. Placówka dała ognia i jednocześnie ozwał się tętent podków galopującego konia. W obozie angielskim dał się słyszeć głuchy łoskot bębnow powołujący żołnierzy do bronii: — górale posunęli się naprzód, przystanęli i z odkrytą głową zmówili krótką modlitwę.

Wawerleja sercem dziwne miotало uczucie, odgłos wojennej muzyki obudził zapal do szaleństwa posunięty, gdy z drugiej strony żal i boleść dręczyły go niewymownie. Nie było jednak już czasu do dłuższej rozważki: zabrzmiały trąby, klany posunęły się, z początku zwyczajnym marszem, później podwoiły kroku, a szmer stopniowo wzrastający zmienił się wkrótce w krzyk dziki i wrzawę.

Wypadki dnia tego historia zapisała na swoich kartach. Jazda angielska, która uderzyć miała z boku na górali, po pierwszym wystrzale tak haniebną uczuła trwogę, że rozsypawszy się, z placu boju pierzchnęła. Artyleria, opuszczona przez jazdę, ratowała się ucieczką, a górale, dobywszy z pochew oręży, z wściekłością na nieprzyjacielską rzucili się piechotę. Wśród tego największego zamieszania, Wawerlej spostrzegł jakiegoś angielskiego wyższego stopnia oficera, stojącego samo-

tnie przy działach i starającego się dać z nich ognia do klanu Fergus'a. Poważna postać tego męża uderzyła Wawerleja, a pragnąc go ocalić od niechybnej zguby, zwłaszcza, że górale już biegli ku niemu, wyści-gnął wszystkich, wzywając go do poddania się. Oficer poskoczył ku Wawerlejowi i odpowiedział cięciem wymierzonym na niego. Edward zasłonił się tarczą, uderzenie jednak tak było silne, że ostrze pałasza pękło na dwoje i w tej chwili wzniosła się siekiera jednego z górali nad głową rozbrojonego nieprzyjaciela. Wawerlej odbił ją zręcznie:

— Daj pokój, bracie! — zawołał Wawerlej — bezbronnych nie godzi się zabijać.

— Niech się stanie wasza wola! — odparł góral i pobiegł za towarzyszymi.

— Teraz poddaję się — rzekł oficer, rzucając szczątki zniszczonego oręża. — Jestem waszym jeńcem, przysługi, jaką mi wyrządziliście, nigdy wam nie zapomnę!

Wawerlej, rozkazawszy z wszelkiem bezpieczeństwem odprowadzić jeńca na tyły obozu, sam z oddziałem ruszył na pole bitwy. Okrzyk zwycięstwa po całej rozlegał się równinie, bitwa przez stronników Stu-

artów była skończoną i najzupełniej wygraną, a owocem jej nie tylko pogrom nieprzyjaciela, ale wszystkie bagaże i artylerya, jakie do niego należały. Nigdy porażka większą nie była, nigdy świetniejsze zwycięstwo ani radość tych, którzy je odnieśli.

Po skończonej bitwie, gdy się już wszystko uspokoiło, Wawerlej zajął się wyszukaniem oficera, któremu ocalił życie. Ten z innymi swymi towarzyszami, których była znaczna liczba, zostawał pod strażą w domu jednego z rolników w pobliżu pola bitwy zamieszkałego. Wawerlej, wszedłszy do pokoju, gdzie był wielki ścisk zebranego tłumu, poznał zaraz upragnionego przez siebie jeńca.

— Cieszę się, — rzekł, wyciągając rękę do oficera — że was widzę przy dobrem zdrowiu! Przyszędłem umyślnie zapytać się, czy czego nie potrzebujecie?

— Dziękuję za pamięć, — odrzekł oficer — ale wprzódby pragnąłbym dowiedzieć się, komu jestem winien życie?

— Jestem Wawerlej...

— Co? Wawerlej? — przerwał ze wzruszeniem oficer — czy nie synowiec Ewerarda Wawerleja?

— Tak jest!

— Ja jestem pułkownikiem i nazywam się Talbot, a wszystko, czem dziś jestem, tom winien waszemu stryjowi. Mimo tego powiem wam otwarcie, że choć dziś ocaliliście mi życie, wolałbym je być stracić, niż oglądać was w tem miejscu i w podobnym ubiorze.

— niesprawiedliwie oskarżony i osądzony, cóż miałem robić?

— Postępowaniem własnem usprawiedliwiłeś, panie Wawerleju, wyrok na ciebie wydany.

— Mało mnie to obchodzi i dziś...

— To źle, bardzo źle, panie Wawerleju, bo naraziłeś stryja na wielkie niebezpieczeństwo.

— Co mówisz, pułkowniku!?

— Tak jest, zastałem go naprzód pod dozorem ścisłym wskutek podejrzenia, jakie ściągnęło na niego postępowanie pańskie, a potem w więzieniu, z którego zaledwie zdołałem go wydobyć pomimo wpływów, jakie posiadam.

— Jakżeś szlachetnym, pułkowniku! — zawołał Wawerlej, ściskając mu rękę.

— To był prosty obowiązek wdzięczności. Jedno-

cześnie poznałem się z dawnym waszym dowódcą, panie Wawerleju, i ten opowiedział mi wszystkie powody oskarżenia was, dodając z przekonaniem, iż rzeczywiście wplątaliście się w niespokojności dziwnym a nieprzewidzianym zbiegiem różnych okoliczności. Postanowiłem zatem wyszukać cię i zwrócić do obowiązku dobrego obywatela, który głównie zależy na unikaniu wszelkich zawichrzeń domowych...

— Cóż się jednak stało z pułkownikiem? — zapytał Wawerlej, rumieniąc się na ostatnią uwagę i nie śmiejąc na nią odpowiedzieć.

— Zginął! — odrzekł pułkownik — cześć jego pamięci.

— Wawerleju, proszę cię! — zawołał w tej chwili wchodzący Fergus — księżę wzywa cię do siebie.

Wawerlej, umieściwszy pułkownika Talbota w swojej kwaterze i odebrawszy od niego słowne przyzwanie, że nie pomyśli nawet o ucieczce, udał się razem z Fergussem do kwatery księcia.

— Wsiądźmy na konie, — rzekł Fergus — o które teraz łatwiej, niż o poziomki w lesie... Ale cóżeś tak osowiał, mój przyjacielu? Tylko co odnieśliśmy największe w świecie zwycięstwo; każdy odwagę twoją

chwali, księżę uwielbia, młodzi zazdroszczą, panie młode podziwiają, a ty wyglądasz jak zmokła kura prosto wyciągnięta z wody.

— Smucę się śmiercią dawnego mego pułkownika, człowieka bardzo zacnego i szanowanego powszechnie.

— Szkoda go, ale co dziś jego spotkało, nas jutro dotknąć może, korzystajmy więc z czasu i wszelkie smutne myśli odrzucajmy od siebie. No, Wawerleju, ocknij się!

— Dowiedziałem się przytem od pułkownika Talbota, że z mojego powodu ojciec i stryj zostali uwięzieni i zaledwie za jego poręczeniem dozwolono im powrócić do domu.

— Więc czego się smucisz? — zapytał Fergus. — Los do nas uśmiechnął się, weselmy się i miejmy nadzieję. Ej! mój bracie, nie trzeba być jak chorągiewka na dachu.

Skarcenie to nie spodobało się Wawerlejowi, ale już nic nie odpowiedział.

Księżę przyjął Wawerleja z największą uprzejmością, obsypał pochwałami za okazaną waleczność, potem

odprowadziwszy na stronę, zaczął wypytwać o pułkownika Talbota, polecił Wawerlejewi starać się o skłonienie go do wzięcia współudziału w poświęceniu się dla jego sprawy, i w końcu oświadczył, że jutro rano wracają do Edynburga.

Na drugi dzień książę odprawił tryumfalny wjazd do stolicy Szkocyi, wśród huku wystrzałów i okrzyków górali. Wawerlej jechał zdala wraz z Talbotem i ciągle był z nim zajęty rozmową.

— Jakkolwiek cieszy mnie wasze towarzystwo, panie Wawerleju! — rzekł pułkownik — ale zdaje mi się, że nie długo rozłączeni zostaniemy, gdyż wasz kawaler zapewne na południe obróci swoją krzyżacką wyprawę.

— Owszem, przeciwnie, mamy jakiś czas zabawić w Edynburgu dla wzmocnienia się...

— I werbowania stronników, w których liczbie mnie zapewne także pomieszczono.

— I cóżby w tem mogło być złego? — zapytał Wawerlej.

— To tylko, że i ja was, panie Wawerleju, także pragnę przywołać do obowiązku!

— To trudno będzie, pułkowniku! Sprawy, której bronię, nie mogę haniebnie opuszczać, wreszcie ci, którzy mnie zmusili do tego, niech odpowiedzą przed Bogiem i sumieniem.

Wkrótce przybyli do miasta. Wawerlejewi z pułkownikiem, z wyraźnego rozkazu księcia, dano wygodną kwaterę, w której, jak tylko się urządzono, natychmiast Wawerlej zabrał się do przejrzenia tajemniczych papierów, ukrytych w tłómczku przez córkę Donaldal. W białej kopercie znajdowało się kilka odpieczutowanych do niego listów pułkownika, wzywających go do powrotu z urlopu a pisanych z prawdziwie ojcowiskiem uczuciem. Kiedy w nich rozczytywał się Wawerlej, podając kolejną list po liście pułkownikowi, do pokoju wszedł jakiś mężczyzna, na którego, jak tylko spojrzał młodzieniec, zaraz zawołał:

— John! a ty co tu robisz?

— Jestem do niewoli zabrany! — odrzekł John — i przyszedłem błagać, abyście mnie, kapitanie, przyjęli do służby przy swoim boku, jak to było przy wyjeździe naszym z zamku do pułku. Ach! panie, cośmy ucierpieli, co się działo, gdy pana z kontroli pułkowej wykreślono.

— Boli mnie to niewymownie — odrzekł Wawerlej z westchnieniem — ale nie moja w tem wina.

— Wiem, panie, wiem, ale niestety, za późno! Wszystkiego narobił ten niegodziwiec Ruffen, który był niczem więcej jak Donaldem rozbójnikiem, aleśmy o tem nie wiedzieli. On to przychodził do nas i powiadając, żeście pszystali do sprawy Stuartów, pokazywał odezwy powołujące nas do zbiegowiska i opatrzone pieczęcią waszą, dobrze nam znaną.

— Ukradziono mi ją w jaskini.

— I o tem później dopiero dowiedzieliśmy się, ale w pierwszej chwili zaufaliśmy chytremu niegodziwcowi, skutkiem czego Tims został rozstrzelany jako najczynnniejszy. Reszta z nas odsiedziała więzienie o chlebie i wodzie, a dziś jestem niewolnikiem proszącym was, kapitanie, o przyjęcie do dawnych obowiązków.

Za radą pułkownika, dowodzącego, że nie słusznie byłoby ze strony Edwarda wciągnąć do sprawy tak niebezpiecznej przywiązanego do niego sługę, postanowiono napisać listy do ojca i stryja i wyprowadzić je przez Johna. Późem Talbot napisał kilka słów do

jednego z kapitanów okrętowych, iżby oddawcę zabrał, na ląd wysadził i dał mu paszport potrzebny do podróży.

— Listy te — rzekł pułkownik — gdy zamieszanie w kraju przyciszy się, posłużą do łaskawszego o tobie sądu, panie Wawerleju, gdyż po rozpatrzeniu przekonałem się, że wina twoja nie jest tak wielką, jak myślałem.

— Czyż pokonanie nas, pułkowniku — zapytał Wawerlej z uśmiechem — uważasz za tak łatwe i nieuniknione?

— Tak jest, młody mój przyjacielu! Tam tylko, gdzie jest prawdziwe pragnienie dobra społecznego, tam miłość jednoczy wszystkich i wszyscy wspólne wyężdżają siły, aby cel swego wysiłku osiągnąć. Po między waszymi stronnikami tego pragnienia szczerzego nie ma, tylko własny interes skłania ich na stronę Stuartów, czyż więc można się spodziewać długiej między wami zgody? Zaręczam ci, że wkrótce sami rozdwoicie się, czem osłabieni, łatwo siłę ulegniecie.

Była to przepowiednia nie bardzo miła dla Wawerleja, zwłaszcza, że sam coraz bardziej uznawał jej

slusznosc, patrzac na zabiegi swoich towarzyszy, domagajacych sie od ksiecia tytulow, zaszczytów i godności. Ksiądz co mógł to robil, ale ze nie wszystkie zadowalniał ządania, wszyscy też coraz bardziej rozdawali sie wzajemną zazdrością.

ROZDZIAŁ III.

I tak uplywał dzień za dniem, wojska oblegaly fortece pod samym Edyburgiem polożoną, a główna kwatera ksiecia w mieście sie znajdowała. Jednego dnia Wawerlej, wracając rankiem z mustry do kwatery zajmowanej z Talbotem, zastał go z wielkim zajęciem czytającego listy z oczami lez pełnemi. Zobaczywszy wchodzącego Wawerleja, otarł je pospiesznie i zwracając sie do młodzieńca, rzekł:

— Pismo nasze wyprawione przez Johna doszło swego przeznaczenia i o to odpowiedź na nie, ale bardzo bolesna...

— Czy dotyczy mego ojca lub stryja? — zapytał Wawerlej z przerażeniem.

— Nie, Bogu dzięki, są zdrowi, ale siostra mi donosi — i mówiąc to, pułkownikowi głos zadrżał — otóż donosi mi siostra, że jedyny nasz syn... mała dziecina... umarł, a żona moja jest chora bardzo niebezpiecznie...

— Ach! mój Boże! — zawołał Wawerlej — to jedź zaraz, pułkowniku...

— Czyż nie jestem waszym jeńcem?

— To uciekaj, wszystko ułatwię, pułkowniku, do wyjazdu, a całą odpowiedzialność na siebie przyjmę.

— Dałem słowo honoru, a przytem nie mogę cię narażać na skutki...

— Zwracam ci, pułkowniku, słowo honoru!

— Ale ja go nie przyjmuję! — przerwał stanowczo Talbot — i cierpieć będę dalej z poddaniem się woli Bożej.

Wawerlej westchnął, zrobił sobie wyrzut, że głównie przyczynił się do wyprawy pułkownika w celu wynalezienia go przedsięwziętej i pomyślawszy chwilę, zawołał z radością:

— Jeszcze jest nadzieja, mam ostatni i jedyny sposób, którego użyję natychmiast. Za godzinę najdalej będę z powrotem.

Wawerlej, wybiegłszy z kwatery, prosto udał się

do mieszkania zajmowanego przez księcia. Wpuszczono go natychmiast: książę spojrzał z podziwem na wchodzącego i rzekł cokolwiek zaniepokojony:

— Jakiż interes sprowadza was do mnie, panie Wawerleju?

— Interes wielkiej wagi. Pułkownik Talbot...

— Cóż, czy przyłącza się do nas? — zapytał porwoczko książę.

— Niestety! nie może książę, i zdaje się, że tego nigdy nie zrobi.

— Ach! to źle, to bardzo niedobrze. Cóż więc dla niego żądacie?

— Uwolnienia z niewoli, może książę!

— To niepodobieństwo, tą powolnością mógłbym zniechęcić moich przyjaciół. Wybacz, panie Wawerleju, ale prośbie twej nie mogę zadosyćuczynić. Czy masz mnie o co prosić dla siebie?

— O to uwolnienie właśnie dla siebie proszę, jako dowód szczególnej dla mnie łaski waszej książęcej mości.

— Och! dla czego innego nie żądasz? Wprawdzie zarzucony jestem prośbami, jakbym już całą Anglię

i Szkocję miał w swem posiadaniu, ale dla pana Wawerleja serce moje zawsze otwarte.

— Niechże więc wyjednam wolność dla pułkownika Talbota. Nadeszły wiadomości, że umarł mu syn jedyny, a żona zachorowała bardzo niebezpiecznie i pragnie koniecznie widzieć się z mężem. Może umrzeć...

— Biedni ludzie! — szepnął książę ze współczuciem, i potem wzięwszy kawałek papieru, coś na nim napisał i oddając Wawerlejowi, rzekł:

— W tak nieszczęśliwym położeniu rzeczy niepodobna prośbie twej odmówić, panie Wawerleju! Otóż daję ci paszport dla pułkownika, nie chcę bowiem odmową zmartwić cię i zatrzymywać wśród podobnych okoliczności szlachetnego nieprzyjaciela.

Radość dwóch przyjaciół z tak pomyślnego załatwienia sprawy nie miała granic. W pół godziny pułkownik już był zupełnie przygotowany do podróży, a gdy przybyli do portu i Talbot miał siadać do łodzi odwożącej podróżnych do okrętu stojącego w porcie, Wawerlej uściśnął mu rękę, mówiąc:

— Bywaj zdrow, pułkowniku! Obyś w domu zastał wszystko dobrze! Tysiączne uściśnienia i pozdro-

wienia oświadczyć ojcę, stryjowi i ciotce Reginie, i powiedz, że się wkrótce zobaczymy w Anglii.

— Dobrze, dobrze, młody mój przyjacielu, ale nim to nastąpi radzę ci szczerze, zrzucić z siebie pleś przy pierwszej sposobności.

Tak rozstali się; łódź odbiła od lądu, pułkownik jeszcze z oddalenia powiewał chustką na znak pożegnania, a Wawerlej smutny stał w miejscu i przesławszy ostatni znak Talbotowi, powrócił do Edynburga.

ROZDZIAŁ IV.

Z początkiem listopada książę na czele najwięcej sześciu tysięcy ludzi ośmielił się wtargnąć wgląd Anglii, aczkolwiek wiedział, że na wypadek ten porobiono ważne przygotowania. Rozpoczęto tę wyprawę w porze roku bardzo niekorzystnej dla każdego wojska, ale dla wytrwałych i zahartowanych w niewygodzie górali, małą to przeszkodę stanowiło, co zapewniało im wielką korzyść nad nieprzyjacielem. Mimo więc przemagającej liczby wojsk stojących na granicy, miasto Karlisle przez pretendenta zdobyte zostało i hufce jego zagrzone nowem zwycięstwem, ruszyły śmiałym pochodem ku południowej Anglii. Pułk Fergusu stanowił przednią straż klanów, Fergus przeto i Wawerlej cią-

w nim znajdujący się, drżą zapewne ze strachu, odbierając ciągle wiadomości o naszym zwycięskim pochodzie.

— Hm, hm! — mruknął baron — czy drżą w Londynie buntownicy, za to ręczyć nie mogą, ale że armia nasza z zuchów złożona, że dzielny w niej duch, a ręce skore do oręża, to rzecz aż nadto pewna, aby się nie trwożyć walką, która nas czeka.

— Trwożyć? — powtórzył Fergus — nigdy, baronie! Już widzę jak Londyn otwiera nam bramy i chyli głowę w pokorze.

Baron znowu coś mruknął, przeszedł się po izbie, a Wawerlej po chwili milczenia rzekł:

— Wprawdzie i ja w powodzenie sprawy naszej nie wątpię, ale dobrze widzę trudności i wiem, że lekceważenie nieprzyjaciela jest to osłabianie sił własnych.

— Edwardzie, jakiś ty zimny! — zawołał Fergus — zmiluj się i pomyśl o poprawie, bo Szkotka, choćby najbiedniejsza nawet, nie spojrzy na ciebie, cóż dopiero Flora, moja siostra, o płomiennem sercu i oczach żarem zapалу świecących.

— Mój Fergusie, — odparł Wawerlej — jeżeli

walczę w sprawie Stuartów, to z przekonania nie z pragnienia pochwał, choćby Mak-Iwor...

— Czyż je tak mało cenisz?

— Nie, ale przedewszystkiem cenię własną godność. Poświęcając się dla sprawy Stuartów, nie myślałem nigdy, co na tem skorzystam, tylko o ile prześladowani zyskają na moim współudziale. Nie względy więc osobiste, nie widoki łask późniejszych, nie pochwały siostry twej Flory, lecz czyste poświęcenie...

— I mnie równie ożywia, — przerwał Fergus z opryskliwością i rumieńcem na twarzy — a siostra moja za wysoka rodem i znaczeniem, aby tak mało okazywać jej uszanowania...

— niesprawiedliwym jesteś, Fergusie...

— niesprawiedliwym, a nawet zdziwionym, że człowiek, co stara się o jej względy...

— Teraz już nawet nie myślę o nich.

— Nie myślisz? — zapytał Fergus, mierząc Wawerleja oczyma — czyś rozum stracił, Edwardzie?

— Tak jest, nie myślę, bo Flora Mak-Iwor tego pragnie.

— Ale ja pragnę, abyś został moim szwagrem a wola moja...

— Niczem dla mnie — przerwał Wawerlej — choćby nawet Flora Mak-Iwor miała wiano królewskie.

— Aha! rozumiem — mruknął Fergus z niechęcią i szyderstwem, i wpatrując się w Wawerleja, dodał: — dla synowca, bogatego stryja sir Ewerarda, trzeba posagów królewskich, licznych włości, mitr książęcych...

— Fergusie! — zawołał Wawerlej, zrywając się z siedzenia i drżąc cały od wewnętrznego wzruszenia — czy to mówisz z przekonania tak mi ubliżającego?

— U Szkota serce zawsze na ustach, to nasze przysłówie.

— A u Anglika godność jego zawsze na końcu szpady, aby bez ukłucia nikt się jej nie dotknął.

— Czyż to znaczy wyzwanie? — zapytał Fergus, brwi marszcząc.

— Sądź to jak chcesz, słów moich nie cofam.

— I ja także, a kiedy tak rzeczy stanęły, byłeś świadkiem, baronie...

— Tak jest, niestety — odrzekł baron siedzący przez czas całej sprzeczki ze zwieszoną głową przed kominkiem. — Słyszałem wszystko i smucilem się w du-

szy z rozdwojenia, jakie nas rozdziarać zaczyna. Jakże się w Londynie ucieszą, gdy się dowiedzą, że dwóch najdzielniejszych obrońców sprawy Stuartów, stanęło na przeciw siebie i jeden drugiego zabił.

— Czyż to moja będzie wina? — zapytał Fergus.

— I nie moja! — dodał Wawerlej.

— A więc ja będę winowajcą — zawołał z żalem baron, powstając i prostując swoją wysmukłą i chudą postać. — Tak jest, ja jestem winowajcą i nikt więcej, żem nie umiał was natchnąć uszanowaniem, jakie przynależy starcowi, co nie wahał się reszty żywota poświęcić dla sprawy ni szczęśliwego króla.

— Baronie! baronie! — zawołali oba młodzieńcy, zbliżając się do starca i chcąc go ująć za rękę.

— Odsuńcie się! — zawołał baron, chowając w tył rękę za siebie. — Ręka podana w przyjacielskim uścisku, to świętość, równie więc musi być święta i ta, która ją ujmuje. Wasza czyż jest taką? Czyż nie widzę na niej plamy krwi, co ma ją zbrukać w bratobójczej walce? Taka ręka nie jest świętą i takiej baron Bradwardine nie przyjmie, bo się lęka, aby nie poka-

łał własnej dłoni dotąd niepokalanej. Odsuńcie się, nie znam was, nie kocham, bo nie szanuję!

— Ale my cię kochamy, baronie, i szanujemy! — zawołali oba młodzieńcy, ze wstydem patrząc na starca.

— Gdzie dowód na to? — zapytał baron z mocą. — Czem przekonacie mnie, że prawda przez usta wasze przemawia?

— Fergusie! — rzekł Wawerlej — oto moja ręka, przebac mi!

— Edwardzie, mój kochany Edwardzie! — zawołał Fergus, rzucając się w objęcia przyjaciela — przebacz mojej porywczowości.

I młodzi długo pozostali we wzajemnym uścisku, lzy zwilżyły im oczy, a baron patrzył na obu z czułością, wreszcie wyprostował się, mówiąc:

— Dosyć tego, młodzi przyjaciele, roztkliwianie się, to rzecz nie męzka, chociaż czasem konieczna, a teraz marsz do spoczynku. Gdybyśmy się znajdowali w mojej baronii Bradwardine, kielich z niedźwiedziem byłby w robocie, ale w tem przekletem pustkowiu, wody, choć się kąpać i utopić, ale wina ani kropli. Po- cieszmy się więc nadzieją uściskania was w mojej sa-

motni, gdy król prawy na tronie swoich przodków zasiądzie.

Na drugi dzień równo ze świtem ruszono w dalszy pochód. Wawerlej, orzeźwiony piękną poranku, złocącego już wierzchołki gór pobliskich, w towarzystwie służącego swego Alik, wyruszył naprzód dla użycia milej przejażdżki. Ale zaledwie ujechał kilkanaście kroków, spotkał przy drzewie stojącego Ewana, który zbliżywszy się do młodzieńca, rzekł pospiesznie, oglądając się, jakby z obawy, żeby go kto nie podsłuchał:

— Majorze, strzeż się! Nie oddalaj się od oddziału, dopóki znów się z tobą nie zobaczę.

Zdziwiony Wawerlej pragnął więcej dowiedzieć się, ale Ewan szybko poskoczył w krzaki i wkrótce znikł w gąszczu.

— Sir, jak mi Bóg miły — odezwał się Alik — nie jesteście bezpieczni między tą dziczą góralską. Kallum był w sieni, gdyście wczoraj znajdowali się u barona Bradwardine, wysłuchał całej rozmowy i powiedział całemu oddziałowi, żeście ubliżyli mis Florze Mak-Iwor, którą oni wszyscy kochają i że ztąd wynikło z pułkownikiem Fergussem nieporozumienie. Dzicz

na wiadomość tę zawrzała oburzeniem, a że u nich każdy, kto nie góral, to nie człowiek, ostrzeżenia więc pocziwego Ewana nie należy lekceważyć.

— Masz słuszność, Aliku, wracajmy więc! — odrzekł Wawerlej, i kiedy zwróciwszy konia, ujechał zaledwie kilkanaście kroków, dał się słyszeć wystrzał z pistoletu, i kula tuż mu przy głowie gwizdnęła. Jednocześnie pomiędzy zaroślami przesuwiał się góral, dobiegł do płotu, przeskoczył go, a Wawerlej, poznawszy w uciekającym Kalluma, skreślił w bok konia, wołając:

— Kallum! zbrodniarzu! napaść ta zbójcka nie ujdzie ci bezkarnie!

— Tak, to Kallum! — potwierdził Alik podążając za swoim panem — widziałem go, jak nurkował między krzakami.

Ale Kallum szybko przeskoczył przez płot i wkrótce połączył się z oddziałem Fergusa. Wawerlej, oburzony tak zdradzieckim na swe życie zamachem, posłał natychmiast Alik do barona Bradwardine z wiadomością o tej napaści, a sam pospieszył do oddziału Fergusa.

— Fergusie — rzekł Wawerlej, zobaczywszy go

stojącego na czele szeregów — w twoim oddziale są zbrodniarze i jeden z nich Kallum przed chwilą strzelił do mnie z zarośli.

— Strzelił? A to z jakiego powodu?

— Podsluchił nas wczoraj u barona i rozgłosił, że Florze ubliżył.

— Kallum ma być obrońcą mojej siostry? — zawołał porywczo Fergus i zwracając się do górali, rzekł:

— Kallum, wystąp z szeregu i powiedz, czy strzeliłeś do majora Wawerleja?

— Ja? — odrzekł bez wahania Kallum z miną najniewinniejszego człowieka — ja miałbym strzelać do majora Wawerleja, któż mnie widział?

— Ja! — odrzekł Wawerlej.

— To się wam, majorze, zdawało! — odrzekł Kallum z uśmiechem trusiątka.

— I ja także widziałem — rzekł Alik — uciekałeś potem przez zarośla, nie oglądając się po za siebie.

— Kłamiesz! — odparł Kallum, poruszając ramionami. Od godziny szeregów nie opuściłem nawet na chwilę.

— Pokaż pistolet! — rozkazał Fergus, a zobaczy-

wszy w nim kurek spuszczonej i lufę wraz z panewką zczerniałą od wystrzału tylko co danego, ujął broń w cieńszym końcu i uderzając kolbą całą siłą swej ręki w Kalluma, zawołał:

— Oto masz, jako kłamca i rozbójnik, noś pamiątkę na swem czole na całe życie podłości i nieczemności.

Kallum padł jak nieżywy na ziemię, nikt jednak nie pospieszył na ratunek i cały klan stał jak niernuchomy, z nienawiścią spoglądając na Wawerleja.

W tej chwili nadjechał baron Bradwardine w towarzystwie kilkunastu jeźdźców, spieszących na ratunek swego towarzysza. Górale, sądząc, że to napasę na ich naczelnika, postąpili naprzód i takie zaraz groźne nastąpiło zamieszanie, że w każdej chwili można się było spodziewać zażartej bójki. Baron jak mógł uspakajał, Fergus lajał i wzywał do porządku, górale wrzeszczeli po gaelicku, żołnierze barona odgrządzali się w szkockiej zepsutej mowie, baron groził natarciem, a Szkoci wzniesli broń i wzięli na cel przeciwników. Coraz wzrastający krzyk i hałas zwrócił wreszcie uwagę całej niemal armii: zaczęto się poruszać, wrzeć i niepokoić, niby pszczoły w ulu, i byłoby z pewnością ogół-

ne nastąpiło zamieszanie, ale na szczęście od strony obozu podniósł się tuman kurzu i nadbiegł oddział dragonów, a na czele jego kilku jeźdźców pędzących w największym galopie. Był to sam książę Stuart ze swoją strażą przyboczną: — wrzawa zaczęła się uspokajać, żołnierze porządkować, i gdy cisza zapanowała nad tą zgiełkliwą przed chwilą gromadą, książę, wywiadziawszy się o powodach nieporozumienia, zgromił wojsko za nieposłuszeństwo, wystawił smutne z tytułu tego następstwa, zagroził sądem wrazie ponowienia niespokojności, a potem, odprowadzając na stronę Fergus'a i Werleja, rzekł do nich z wyrzutem:

— Oto następstwa waszej nieogłędności, smutne owoce niezgody, która najsilniejszego oddaje w ręce o wiele słabszego przeciwnika. Poprawcie się, gdyby nie moje przybycie, bratobójcza walka była pewną i to w chwili, gdy nieprzyjaciół w licznych szeregach spieszy na nasze spotkanie.

— Spodziewałem się tego — rzekł baron — ta długa bezczynność przeciwników nie podobala mi się i byłem niemal pewny, że lada chwila spadną na nas jak szarańcza.

— To ją zgniemy, jak podle robactwo! — za-

wolał Fergus z zapalem. — Daliśmy już dowody, że przed naszym męstwem wszystko korzyć się musi.

— Niektórzy jednak dowódcy są innego zdania! — odrzekł książę. — Dziś odebrałem wiadomość, że spieszącym marszem spieszy ku nam korpus księcia Kumberlandzkiego, na którego odparcie za słabe posiadamy siły. Radzę więc odwrót ku północy..

— Ten nas zgubi, i nigdy na niego nie zezwolię! — przerwał Fergus porywczo — a książę zdziwiony spojrział na niego i odrzekł spokojnie:

— W tak ważnym wypadku nawet ja nie śmiem stanowczo wyrokować, i dla tego zapraszam panów na radę wojenną, na której wspólnie postanowimy, co nam dalej robić wypada.

Rada odbyła się z wielką burzliwością, ale pomimo sprzeciwiania się niektórych, a szczególnie Fergus'a, postanowiono odwrót ku Szkocyi, celem wzmocnienia sił swoich i dopiero z wiosną wkroczenia do Anglii. Rozpoczęto więc natychmiast pochód we wstecznym kierunku, a że nikt nie był zuchwalszym nad Fergus'a w całej tej szalonej wyprawie, nikt też mocniej nie uczuł od niego zawodu.

Odwrót trwał już dni pięć przeszło, Fergus przez

ten czas tak się zmienił, że zaledwie poznać w nim było owego burzliwego młodzieńca, dla którego przed tygodniem cała ziemia było za mało. Wawerlej rzadko z nim się widywał, gdyż odkomenderowany do oddziału barona Bradwardine, pełnił przy nim służbę i nie mógł się często od niego oddalać. Nareszcie 12 grudnia, cała armia zatrzymała się w niewielkiej wiosce, i kiedy Wawerlej wyszedł z kwatery dla przeglądu rozstawionej w koło obozu straży, spotkał Fergusa do niego spieszącego. Zmieniona powierzchowność jego niezmiernie zaniepokoiła Wawerleja. Oko jego było przygasłe, policzki zapadłe, głos stłumiony, w poruszeniach swych nie miał dumy, jaką się dawniej zalecał, a nawet strój jego, przedtem tak wytworny, był zupełnie zaniedbany.

— Co się z tobą stało, mój Fergusie? — zapytał Wawerlej z największą troskliwością: — czy nie jesteś chory przypadkiem?

— Nie, mój przyjacielu! — odrzekł Fergus, siląc się na uśmiech — jestem zdrow jak ryba, ale mnie trawi ten odwrót nieszczęśliwy, a raczej prosta ucieczka niszcząca wszelkie nasze nadzieje.

— Przecież żadnej klęski jeszcze nie doznaliśmy —

odrzekł Wawerlej, i starał się przyjaciela pocieszyć, ale ten na wszelkie rozumowania potrząsał tylko głową i w końcu rzekł:

— Nie ludźmy się, mój Edwardzie, siły nasze maleją, a nieprzyjaciół coraz bardziej otacza nas i jest obawa, czy zdołamy zdążyć do Szkocyi przed jego natarczywym pochodem. Radzę ci więc, mój bracie, pomyśleć o sobie, dostać się na ląd stały i czekać na zupełne uspokojenie kraju.

— A cóż ty myślisz z sobą zrobić, Fergusie?

— Mój los już jest rozstrzygnięty, mam przeczuć dziwne, niewytłómaczone, że zginę i to wkrótce.

— Śmierć i życie w ręku Boga! — odrzekł Wawerlej — jeżeli więc masz zginąć, gińmy razem.

— Przewidywałem to, znając twoją szlachetność, dla tego przybyłem do ciebie z prośbą.

— Mów, mów, a zrobię wszystko co mogę.

— Otóż, gdy przejdę do lepszego świata, otocz opieką siostrę moją Florę, zostań dla niej bratem i zastąp miejsce moje, bo po upadku naszym ona biedna zostanie bez chleba i dachu. Na samą ~~ty~~ myśl, tak wielka boleść przejmuję me serce, że prawie upadam z cierpienia.

— Dobrze, dobrze! — rzekł Wawerlej, zobaczywszy Izy w oczach Fergususa, poczem starał się rozmowie weselszą nadać barwę i ożywić serce lepszą na przyszłość nadzieją.

— Już cię nie odstąpię! — rzekł Wawerlej — dzielimy razem wspólną dołę, jaka nas czeka.

Górale, widząc w zgodzie swoich młodych dowódców, stracili wszelką niechęć do Wawerleja, witali ich zawsze z największą życzliwością, Ewan wyszczerzał zęby z radości, a Kallum, choć blady i z wielkim plaszem na głowie, uśmiechał się do Wawerleja przyjaźnie.

Tymczasem wojsko pospieszało w odwrocie ze wszelkimi środkami ostrożności. Z zachodem słońca, przebywszy otwartą zewsząd trzęsawicę, gdy weszło do wioski Klifton, zdala postrzeżono liczny oddział kawalerii postępujący przez równinę. Był to nieprzyjaciel. Obwarować więc płoty, osadzić drogę, którą się nieprzyjaciel zbliżał, było dziełem jednej chwili, co gdy wykonano, zapadła noc ciemna.

Dragoni, zbliżywszy się pod samą wioskę, zsiadli z koni w celu zdobycia obwarowanych plotów, a reszta posuwała się drogą do wsi wiodącą.

Górale przyjęli ich wystrzałami, a Fergus wznosząc oręż w górę i zawoławszy:

— Za mną, dzieci Iwora! — ruszył naprzód.

Górale poskoczyli za swoim dowódcą, rzucając się odważnie na nieprzyjaciela; dragoni, przerażeni dzielnością odporu, cofnęli się w największym nieładzie, ale w tej chwili księżyc, nagle wynurzając się z za chmur, ukazał Anglikom małą liczbę przeciwników, której lękać się nie było czego. Bezwzględnie też dwa szwadrony jazdy nadbiegły na pomoc rozbitym towarzyszom i rozpoczęła się straszna walka: — wśród wrzawy i ciemności, dragoni rąbali pałasami, Wawerlej skupiał górali, gdy nagle spostrzegł Fergususa, jak w towarzystwie Ewana i Kalluma, bronił się rozpaczliwie przeciw nacierającym silnie kilkunastu dragonom. W tej chwili księżyc znowu skrył się za chmury i w ciemnicy ztąd powstałej Edward nie mógł ani pospieszyć na ratunek przyjacielowi, ani znaleźć drogi, której obrona powierzona mu została. Szedł więc na oślep, w pośród ciągłych strzałów, i szczęśliwie uniknąwszy różnych niebezpieczeństw, porąbania, stratowania lub zastrzelenia, dostał się wreszcie do kamienną zagrody, pewny, że teraz już łatwo trafi na drogę prowadzącą do główne-

go korpusu, zwłaszcza że w stronie tej rozlegał się głos piszczałki góralskiej.

Ale wkrótce głos ten przycichł, później ozwały się trąby i bębny wojska angielskiego, a Wawerlej, ciągle błędząc, poznał z wielkiem swem przerażeniem, że się znajduje w pobliżu nieprzyjaciela i że z łatwością może być wziętym do niewoli. Ruszył więc natychmiast bocznemi manowcami, a choć ścieżyna była błotnistą, noc ciemna i wiatr zimny, szedł jednak pospiesznie w nadziei, że się dostanie do swoich.

Podróż ta była długa i nużąca; utykając, wlokąc się po błocie, doszedł wreszcie do jakiejś wioski; w jednej z chat z okien biło światło i wesołe rozlegały się okrzyki.

— Za gwarno tam i za ludno, — pomyślał sobie Wawerlej — a lud tutejszy niechętny sprawie Stuartów, ujrzawszy mnie w ubiorze góralskim, mógłby się zbrodni dopuścić. Trzeba cichaczem podsunąć się pod okna chulaszczej zgrai i przekonać się, co to za towarzystwo.

Skręcił więc w bok, ale zaledwie doszedł do bramy jednej z wiejskich pobliskich zagród, usłyszał cichym szeptem kobiecego głosu wymówione zapytanie:

— Czy ty, Edwardzie?

— Tak jest! — równie odszepnął Wawerlej, mimowolnie przestraszony.

— To chodź do domu! — rzekł znowu tenże sam głos, W karczmie pełno dragonów angielskich i ci dowiadawali się, kto zawoził żywność dla górali. Stoję tu już od godziny, aby cię przestrzedz. Chodź więc, chodź, czegoż stoisz jak niemowa?

Na szczęście dziewczyna nie czekała odpowiedzi, szparko przebiegła przez małe podwórko, a Wawerlej ruszył za nią, powierzając los swój opiece Opatrzności. Niebawem znalazł się w izbie wieśniaczej; z rogu jej odezwał się głos, widać ojca dziewczyny, pytający znowu o Edwarda.

— Doczekałam się go nareszcie — odrzekła dziewczyna, rozdmuchując ogień ukryty w popiele, musi być już w izbie, ale jakiś czy chory, czy smutny, bo nie nie mówi.

— Edwardzie — rzekł ojciec — czy jesteś już w izbie? W tej chwili ogień zabłysnął na kominie i gdy światło padło na Wawerleja, z łóżek pokazały się dwie głowy i trzy głosy zawołały z przestachem:

— Co to jest? to nie Edward? to jakiś góral nieznany!

— Nie jestem góralem — odrzekł Wawerlej — ale Anglikiem, proszę więc was o pomoc i opiekę. Imię mam także Edward...

— Więc należysz do tych, co podnieśli oręż w sprawie Stuarta? — zapytał ojciec. ?

— Tak jest, w bitwie wśród ciemności, spiesząc na pomoc przyjacielowi, zostałem odcięty od oddziału i pragnąc dostać się do głównego korpusu, doszedłem aż do wsi waszej. Przypadek zrządził, że mając to samo imię co syn wasz...

— Tak, czekamy na syna Edwarda — przerwał gospodarz. — Rzeźki to chłopak, nie lubi Anglików, bo nam nieraz dobrze dokuczili, ale czy jesteś nim, czy nie jesteś, odmówić ci pomocy nie mogę.

— Bóg wam zapłać, dobry człowieku, później postaram się okazać wam wdzięczność...

— Oto się, panie góralu, nie kłopotcie! — przerwał gospodarz. — W karczmie pełno dragonów, skoro świt zaczną plądrować po wsi całej, gdyby cię dostrzegli...

— Ach! niech Bóg bron! — rzekła gospodyni — wziętoby nas za stronników Stuarta, a wtenczas człowiek i życia nie byłby pewnym.

— Matko, nie mówcie tak, bo aż zadrżałam z przestachu! — rzekła córka płaczliwym głosem.

— Cicho, moje dziecko, cicho, w nieszczęściu nie można człowieka opuszczać.

— Dobrze mówisz, pocziwa Betty! — rzekł gospodarz — tak wypadnie jak Bóg rozporządzi, a teraz pomyście o jakim posiłku dla naszego gościa, ja zaś wyszukam mu ubranie, bo w góralskim stroju nie może dalej pozostać.

Edward, nakarmiony i ogrzany, wkrótce zasnął smacznie w przybocznym alkierzu, ale obudził się przed świtem, niepokojony niebezpiecznem położeniem i wiadomościami, jakie odebrał od gospodarza. Powiedział mu, że wojsko księcia spiesznym pochodem posuwało się w odwrocie w głąb Szkocyi, a dragoni angielscy patrolowali po wszystkich wsiach i drogach, chwytając niedobitków z rozproszonej przedniej straży górali. Postanowiono zatem Edwarda przechować dni kilka, a potem dopiero manowcami odstawić do krewnych swoich,

mieszkających tuż przy głównej drodze prowadzącej do Londynu.

Przykre to było niezmiernie wyczekiwanie dla Edwarda; mimo troskliwej baczości gospodarstwa o jego bezpieczeństwo, mimo niepewności swego położenia, smucił go nadto los jego przyjaciół, barona Bradwardine, a szczególnie Fergusa, którego widział broniącego się rozpaczliwie, a nie mógł mu udzielić pomocy. Wszystkiem tem martwił się niewymownie, ale jakiegoż doznał przerażenia, gdy w gazecie londyńskiej przyniesionej mu od miejscowego proboszcza, wyczytał doniesienie, iż Fergus i Ewan pochwyceni zostali na placu boju i poddani pod wyrok sądu nadzwyczajnego; że wojsko księcia, ciągle ścigane, prawie w zupełnem rozproszeniu błąka się po górach Szkocji; że stryj jego znajduje się w więzieniu, jako podejrzany o namowę synowca swego Edwarda do zbiegostwa z pulku i połączenia się z góralami, i że wreszcie ojciec jego umarł dręczony zgryzotą. Były to wieści tak przerażające, że Wawerlej w pierwszej chwili został jak piorunem rażony; później cokolwiek uspokoivszy się, postanowił natychmiast i bądź co bądź pojechać do Londynu.

Trzeciego zatem dnia w towarzystwie swego imienika, pobłogosławiony przez poczciwych gospodarzy, ruszył w drogę i po długiej podróży przeplatanej różnemi wypadkami, dostał się wreszcie do Londynu.

Już się miało ku wieczorowi, gdy przyjechali do miasta. Wawerlej udał się natychmiast do domu pułkownika Talbota. Ujrawszy go, pułkownik zawołał przestraszony:

— Ty tutaj? — czyż nie wiesz, na jakie narażasz się niebezpieczeństwo? Gdyby cię poznano...

— Wiem, coby mnie spotkało, — odrzekł Wawerlej — ale przypadkiem dostałem gazetę londyńską i w niej wyczytałem, że ojciec mój umarł, a stryj został uwięziony.

— Na nieszczęście wszystko to prawda, ale stryj już wolny, mieszka w swoim zamku, a ojciec przeze mnie udzielił ci ostatnie błogosławieństwo. Co do Fergusa i Ewana, los ich prawie rozstrzygnięty... dusze ich polećmy Bogu, jutro wyrok ma być wykonany.

Wawerlej załamał ręce z rozpaczą, lzy pociekły mu po policzkach.

— Nie dziwię się zupełnie twojej rozpaczycy — rzekł po chwili pułkownik — mimo tego trzeba myśleć o własnem bezpieczeństwie, zwłaszcza że u mnie długo nie możesz pozostać. Cóż zamierzasz robić dalej?

— Udam się na ląd stały — odrzekł Wawerlej — chciałem tylko pożegnać się ze stryjem.

— To jest niepodobnem, mój przyjacielu, przewidzieliśmy wszystko, stryj złożył na moje ręce pieniądze dla ciebie na podróż, a ja wystarałem się o paszport dla mego siostrzeńca Stanleja, pod którego osłoną jak najłatwiej przebędziesz drogę do portu i pierwszym lepszym okrętem popłyniesz na ląd stały. Przez ten zaś czas będę się starał wyświecić twoją sprawę i wyjednać ulaskawienie, przez wzgląd na okoliczności, które cię niejako wepchnęły na drogę niewłaściwą.

Po wyjściu pułkownika Wawerlej długo chodził po pokoju, rozmyślając o śmierci ojca i losie swego przyjaciela Fergusa. Tak młody, szlachetny, tak pełen zapału i poświęcenia dla sprawy króla, ma skończyć żywot swój na rusztowaniu!

— Ach! Boże, Boże! — mówił do siebie Wawerlej — dla czegoż ludzie zapominają, że są sobie braćmi?

W parę godzin później przybył pułkownik z rozjaśnioną twarzą.

— Sprawa twoja, Edwardzie, dobrze stoi — rzekł siadając — uwolniono cię z pod zarzutu dezercyi i buntowania pułku, ale jeszcze musisz się ukrywać. Trzeba zatem dziś jeszcze opuścić Londyn i zamieszkać w dobrach mojej żony, w których właśnie spodziewają się przybycia mego siostrzeńca. Że zaś tenże służbie tamtej nie jest znany, łatwo więc utrzymasz się w przybranej roli.

Pocztowymi końmi, bez żadnej przygody, Wawerlej w kilka dni później dotarł do granic Szkocyi i zaraz dowiedział się o szczegółach bitwy, w której ostatni raz walczył w sprawie Stuartów. Nie było w nich nic nowego, a jednak niespodziewaną dotknięty wieścią, przez długi czas nie mógł przyjść do siebie. Szlachetny i rycerski Stuart został tułaczem i na głowę jego wysoką nałożono cenę; stronnicy jego, tak wierni i mężni, poginęli lub dostali się do niewoli, inni zaś, co uchronić się zdołali, ogłoszeni zostali za zdrajców.

— A jakież los spotkał mężnego, szlachetnego Fergusa, jego nieodłącznego towarzysza Ewana? Gdzież

ten zacy Bradwardine, bez żadnych osobistych widoków oddany sprawie Stuartów? Co się dzieje z Różą potulną, skromną dziewczicą i dobrą córką tak kochającą ojca? gdzie się obraca Flora z tak wzniosłym umysłem, i sercem pełnem szlachetności?

Przybywszy do Edynburga, uczuł Edward całą trudność swego położenia, gdyż znany wielu mieszkańcom, nie mógł się długo pod przybranem nazwiskiem ukrywać. Postanowiwszy zatem jak najkrócej zabawić i zaraz w dalszą ruszyć drogę, zmierzchem dopiero wyszedł z domu, ale zaledwie wszedł w ulicę, przy której mieszkał razem z Fergussem i minął dom szanowanej przez nich gospodyni pani Flockhart, nagle przy świetle latarni spotkał się oko w oko z nią samą.

— Święty duch chwali Pana Boga! To wy, panie Wawerleju? — zawołała pani Flockhart przyciszonym głosem.

— Cicho! — szepnął Wawerlej — bo możecie mnie narazić na największe niebezpieczeństwo.

— Nie lękajcie się, panie Edwardzie! — odrzekła gospodyni — umiem być niemą jak ryba gdy potrze-

ba, ale chodźcie ze mną, pogawędzimy trochę, u mnie będziecie zupełnie bezpiecznym.

Nie mogąc się oprzeć prośbie poczciwej kobiety, Wawerlej poszedł za swą przewodniczką. Ale jakże serce jego zabiło ze wzruszenia, kiedy wszedłszy do Azby gościnnej, w której z taką wesołością jadaliby obiad z Fergussem i baronem Bradwardine, zobaczył czapkę Fergusa z czapłem piórem zawieszoną na małym zwierciadle. Młodzieniec, przystanawszy, wpatrzył się w nią i smutnie zwiesił głowę: — pani Flockhart zasłochała.

— Ach! niestety, to jego czapka! — rzekła po chwili. — Zawiesił ją w dniu wymarszu do Anglii, obiecując zastąpić inną, gdy po wprowadzeniu Stuartów do Londynu, wracać będzie jako zwycięzca w góry Szkocyi. Jakże się wszystko zmieniło! Zdaje mi się, że go słyszę wesoło żartującego i wydającego rozkazy przybocznym swym góralom... a dziś już nie należy do tej ziemi razem z poczciwym Ewanem i Kallumem, który poległ w obronie swego naczelnika klanu.

— Gdzież jest siostra jego Flora, baron Brad-

wardine i panna Róża, jego córka? — zapytał Wawerlej.

— Flora podobno bawi u krewnej swej w górnej Szkocyi, a baron z córką niewiadomo gdzie się znajdują, bo baronia ich Tully-Weolan wystawioną została na publiczną licytację.

ROZDZIAŁ V.

Na drugi dzień Wawerlej pocztowemi końmi ruszył w dalszą drogę, a że do dóbr pułkownika, do których się udawał, trzeba było koniecznie jechać przez baronią Bradwardine, postanowił odwiedzić miejsce tak dla siebie pamiątne w tej nadziei, że może czegoś dowie się o Florze, baronie i jego córce. Im bardziej ku północnym zbliżał się okolicom, tem widoczniejsze spostrzegał znaki spustoszenia. Zaraz po zachodzie słońca, dojeżdżając do Tully Weolan, zakłopotał się bardzo, ujrzawszy oddział wojska tuż za wsią obozujący. Pragnąc uniknąć badania w miejscu, w którem łatwo mógłby być poznany, okrążył wioskę ścieżką dobrze sobie znaną, a prowadzącą do głównej bramy zamko-

wej. Zastał z niej jedną połowę na drzazgi porąbaną, a drugą chwiejącą się na zawiasach i za każdym poruszeniem wiatru wydającą skrzypienie, jakby jęczenie skargi na swój los nieszczęśliwy. Ozdoby muru i krużganki były potłuczone, niedźwiedzie kamienne, od wieków strzegące bezpieczeństwa zamku, powyrzucane i pokryte kupami gruzów, wielkie drzewa poćcinane zawałaly drogę, a bydło i kopyta koni zieloną murawę, której przedtem piękności nie mógł się dosyć nadziwić, przemieniły na błotnistą rozdeptaną czarną kałużę.

Zamek sam równemu uległ zniszczeniu: widocznie chciano go spalić, grube mury poczerniały, straciły wieżycę i krużganki, ale wytrzymały ogień i tylko stajnie i poboczne budynki całkowitemu uległy zniszczeniu. Bruk przytem dziedzińca był wyrwany, drzwi wylamane, okna potłuczone, a na dziedzińcu pełno było sprzętów domowych potrzaskanych. Wszedłszy do ogrodu, wśród ciągłych śladów zniszczenia i przerażającej pustki, postrzegł facyatę do połowy zburzoną i balkon należący do pokoju Róży. Pod nim znajdowały się kwiaty i krzewy tak troskliwie przez nią pielęgnowane, powyrzucane z doniczek, a pomiędzy skorupami ujrzał

niektóre jej książki podarte i jedno dziełko własne, które schował na pamiętkę.

Pogrążony w smutnem dumaniu, gdy się naokoło oglądał, usłyszał nagle wewnątrz gmachu głos dobrze sobie znany, śpiewający jedną z piosenek szkockich. Był to głos Dawida, który go niegdyś pierwszy przyjął w czasie przybycia do Tully-Weolan.

— Ach! — pomyślał Edward — ty jeden tylko, biedaku, pozostałeś ze wszystkich mieszkańców baronii Bradwardine. Dawidku, Dawidku, chodź, powitaj swego dawnego przyjaciela!

Dawidek, usłyszawszy wołanie, wychylił głowę przez wylamane okno, ale zaraz schował się z widoczną trwogą, i dopiero na powtórne wymienienie swego imienia poparte zagwizdaniem piosnki przez niego bardzo ulubionej, znowu się pokazał, ale z wielką bojaźnią i zbliżywszy się, wyrzekł ze smutkiem:

— Niema nikogo, wszyscy poumierali, tak, tak, niema nikogo, wszędzie pusto, nigdzie żywej duszy!

Biedny Dawid był tylko jakby cieniem dawnej swej osoby. Wychudł, zmizerniał, oczy miał zapadłe, a w miejsce wytwornego ubrania wisiały na nim resztki kobierców, firanek i płócien obrazowych, któremi pod-

latał rozlatujące się na nim lachmany. Wawerlej przerażony zapytał:

— Kto umarł, Dawidku?

— Wszyscy, — odrzekł Dawid — baron, panna Róża, intendet, nikt nie został.

Wyrzekłszy to, zaczął nucić jakąś dziką pieśń i dawszy znak Wawerlejowi, aby siedł za nim, spiesznie pobiegł brzegiem rzeki, przeskoczył zwałiska muru, przeszedł przez rzeczkę, zaczął się wdzierać na urwiska skał i doszedł nareszcie do małej wiejskiej chaty. Wawerlej śmiało wszedł za nim do wnętrza, dwa psy ze szczekaniem rzuciły się, ale poznawszy znajomego, zaczęły lasić się, skomlać radośnie.

— Któż jesteście, młodzieńcze? — zapytała, podsuwając się ku niemu niemłoda, już kobieta. Poznały was psy, czyżbyście byli przyjacielem nieszczęśliwego barona Bradwardine?

— Jestem nim — odrzekł Wawerlej — i umyślnie przejeżdżając, wstąpiłem tu, aby się dowiedzieć o jego losie.

— Nie wiem nic, co się z nim dzieje — odrzekła staruszka — pewno znajduje się już w Holandyi.

Wawerlej chciał zapytać się o Różę, gdy nagle

zobaczył za drzwiami ukrywającą się jakąś wysoką postać, w wytartym mundurze, z zarosniętą brodą, trzymającą pistolet w prawem ręku, a lewą sięgającą po drugi do pasa.

Był to baron Bradwardine; młodzieniec z okrzykiem radości rzucił się w objęcia starca.

— Żyjesz więc, młody mój przyjacielu! — zawołał baron, gdy pierwsze minęło wzruszenie. Byłem pewny, że zginąłeś przy naszym odwróceniu z Anglii, w owej piekielnej bitwie wśród ciemności nocnej, w której uchwycono nieszczęśliwego Fergususa z jego wiernym Ewanem. Ja cudem Bożym ocalałem, a nie mając nigdzie bezpieczeństwa, schroniłem się tu pod opiekę pocziwej Joanny i wiernego mi ludu, aby patrzyć na zniszczenie naszej rodzinnej odwiecznej siedziby.

— Jakże mi żal was, baronieli..

— Nie żałuj, mój przyjacielu, zgodziłem się z moim losem nieszczęśliwym, nie chcąc i nie mogąc narzekać na wyrok Opatrzności, która losem moim w ten sposób rozporządziła. Któż przeniknie i zrozumie Boże rozkazy? Przykro mi jednak było patrzeć na zniszczenie rodzinnego gniazda, ale przykrzej jeszcze widzieć je przechodzące w ręce niegodne mego krewnego

Malkolma Bradwardine, którego sam wybrałem, usuwając własną córkę Różę od dziedzictwa, aby na ojczyściej ziemi starożytne utrzymać nazwisko.

— Słyszałem o nim, — odrzekł Wawerlej — że to wielki niepoń, że wam, baronie, z pewnością odmówi wszelkiej pomocy, że się wypłaci najczarniejszą niewdzięcznością...

— Być może — przerwał baron — nie mówmy jednak o tem. Każdy z nas obiera to, co najwyżej ceni: on pieniądz, ja spokój sumienia, co zaś z tych rzeczy większe daje szczęście, czas pokaże. Co do mnie, choć żyję jak zwierz dziki, w dzień w norze skalnej, a w nocy w tej ubogiej chacie. Może mi przyjdzie przeżyć tak do końca dni moich, mniejsza o to, niech się spełni wola Boża, wszystko zniosę z jedną pogodą duszy. Cóż się przecieć z tobą dzieje i działa, kochany Edwardzie?

Wawerlej opowiedział wszystkie znane nam szczegóły i o nadziei uzyskania przebaczenia zrobił wzmiankę.

— Winszuję ci, mój przyjacielu! — rzekł baron — ja i tego spodziewać się nie mogę, gdyż zwykle nieprzyjaciel zwycięzca jest nieublagany.

W dalszej rozmowie Wawerlej dowiedział się, że

rym nawet w ostatniej chwili życia nie mógł się znajdować.

I tak zeszło kilka tygodni na nudzie i beczynności, wreszcie nadeszły listy od pułkownika i jego żony, w których mu doniesiono, że wyświełwszy jego czynności, uzyskał zupełne przebaczenie i że może obecnie pod własnem wystąpić nazwiskiem. Podobne przebaczenie winy wyjednano także i dla barona, o czem natychmiast Wawerlej pospieszył go zawiadomić. Nowinę tak pożądaną baron przyjął ze smutnym uśmiechem radości.

— Jest to wielka łaska, — wyrzekł — której na prawdę nie spodziewałem się! Wprawdzie grota, w której się chowam, nie pałac, zawsze jednak stanowiła dach nad moją głową, dziś i tego dachu jestem pozbawiony. Ale i na to znajdziemy radę, przy tobie, pocciwy Edwardzie, znajdzie się zapewne kącik dla starego żołnierza — wszak dasz mi go...

— Zacny baronie, czyż możesz wątpić?

— Jeden tylko warunek.

— Spełnię go bez wahania.

— Oto raz na rok, w dzień rocznicy moich urodzin, pojedziemy cichaczem do mojej dawnej siedziby

zwanej baronią Bradwardine... przypatrzę się, powzdycham, może lęz uronie...

— Ach! baronie, pocóż te smutne myśli?

— Prawda, teraz cieczyć się należy swobodą, jaką uzyskałem. Cezar powiedział: mądry duchem nie dba o ziemskie skarby, a Salucyusz dodaje: nie gardź piosnką, gdy przy niej możesz zapomnieć o jutrze. Ziemskie życie, mój Edwardzie, to chwilka, minie jak noc ustępująca dniowi... tym dniem, to przyszłe życie, tylko bez końca... wieczność! Dalej więc śmiało, póki tłoczy nas ciężar życia ziemskiego! Pamiętasz, Edwardku, tę piosnkę, com ją nucił w czasie uczty wyprawionej na cześć twego do mnie przybycia?

Don-don-larydon,

Brzęknął z wieży wielki dzwon,

Biegną chłopcy i dziewczęta,

Panny, panie i paniąta

Don-don-larydon...

Wawerlej podzielał wesołość barona i rozstał się z nim dopiero w chatce Joanny, w której postanowił zubożać starzec osiąść na czas jakiś, dopóki inaczej

o sobie nie postanowi. Wawerlej natychmiast udał się w podróż do dóbr stryja, sir Ewerarda.

Przebył ją bardzo szybko, a gdy spostrzegł wieżę zamku wychylające się z za góry, serce zabiło mu silniej i lęz smutku po stracie ojca i Fergusza zabłysła mu w oku. Tu to przebył całą swą młodość, tu wydierał się do świata, o którym marzył jak o rozkoszy niczem nieprzerwanej! Jakże zawiódł się okropnie! Przywiózł z sobą tylko wspomnienie bolesnych strat i zawodów; czar minął, rzeczywistość zajęła jego miejsce.

Na turkot powozu wjeżdżającego w dziedziniec zamkowy, wybiegła służba i w jednej chwili rozległ się wesoły okrzyk:

— Nasz panicz kochany, pan Edward przyjechał!

Przywitanie ze stryjem i ciotką Reginą równie było serdeczne i rozrzewniające. Ciotka dziwiła się, że tak zmęźniał i opalił się, a stryj cieszył się, że pozbywszy się roztrzęsania młodzieńczego, nabrał powagi tak upragnionej. Rozmowie przy stole zastawionym obfitym posiłkiem nie było końca, przeciągnęła się późno w noc, a gdy wreszcie udano się na spoczynek Edward długo nie mógł usnąć, przejęty wzruszeniem

jakiego doznał, znalazłszy się po tylu niebezpiecznych przygodach, w gronie rodzinnem tak go kochającym. Na drugi dzień po śniadaniu, stryj przywołał Edwarda do swego gabinetu i siedząc w dużem staroświeckim krześle, rzekł uroczyście:

— Mój synowcze, a raczej synu, bo cię za takiego zawsze uważam, gdy masz zostać dziedzicem całego mego mienia, trzeba odpowiednio przyszłością swoją rozporządzić. Powrót Stuartów był mojem jedynem dotąd marzeniem, zdawało mi się bowiem, że do szczęścia Anglii ich koniecznie potrzeba, aby panowali. Myliłem się, ostatnie nieszczęśliwe usiłowania aż nadto mnie przekonały, że rodzinę tę za przepadłą uważać należy. Trzeba zatem starać się zostać podporą tronu hano-werskiego, wołać narodu na tron powołanego. Obejmiesz więc zarząd dóbr, wejdiesz do publicznego życia, bo usuwający się od niego obywatel, przestaje być obywatelem kraju. Przedewszystkiem jednak ożenisz się, a chociaż pod tym względem zostawiam ci wszelką wolność, byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby wybór twój padł na pannę Różę Bradwardine, godną pod każdym względem, aby dwa rody nasze silniejszym jeszcze złączyła węzłem. Jakież twoje zdanie?

— Z tą samą myślą — odrzekł Edward, całując w rękę stryja — przyjechałem do zamku, jakże więc cieszę się, że pragnienia moje tak są zgodne z życzeniem kochanego stryja.

— I ja równie jestem uradowany, — odrzekł sir Ewerard — napiszę zatem list do barona i wszystkiem odpowiednio rozporządzę.

W parę tygodni później, odebrano od barona odpowiedź, że chętnie zgadza się na oddanie ręki córki swej Edwardowi, że cieszy się wielce przyszłym szczęściem swego dziecka, ale smuci zarazem, że zniszczony przez wojnę nie może jej udzielić posagu.

— „Jestem dziś biedny i zupełnie zrujnowany — pisał w końcu — nie będę mógł nawet wyprawić wesela wedle godności rodu mego, na które zwykle po trzystu zaproszonych gości przybywało, ale kochanemu Edwardowi dam większy posag, niż kopalnia złota, bo nieoszacowane serce Róży, a tobie, mój stary przyjacielu, pociechę, żeś złączył się z rodem mym już tak dawno przez ciebie kochanym.“

W kilka miesięcy później uroczystość weselna odbyła się w kółku tylko rodzinnem, u krewnego barona, lorda Durchan. Przy uczcie baron starał się wszyst-

kich zajmować wesołą rozmową, ale mu jakoś nie szło, a gdy wznosił toast za pomyślność państwa młodych, doznał wzruszenia tak silnego, że nie mógł słowa przemówić. Sądzone, że zachorował, ale w kilka minut uspokoił się i rzekł z uśmiechem:

— Bądźcie o mnie spokojni, starość nie radość. Wydziedziczony z mienia, a teraz rozłączając się z jedyną córką, coś dziwnego, że osłabłem i oniemiałem. Ale to już przeszło... chodźciez tu, dziatki moje, niech was pobłogosławię!

Wszyscy powstali, państwo młodzi ukłękli przy nogach starca, a baron po cichej modlitwie nachylił się ku młodej parze i udzielił jej błogosławieństwa, znacząc czoła młodych krzyżem zbawienia.

Na drugi dzień zaraz ruszono w podróż do Waverlej-Honour z wielką okazałością. W ogromnej karecie, ciągnionej sześcioma końmi, siedział baron z sir Ewerardem i państwo młodzi na przodzie. Rozmowa ożywiła całe grono, służba jadąca konno gwarzyła wesoło, ale gdy zbliżano się do dawnego dziedzictwa Bradwardinów, baron umilkł i niespokojnie zapytał, czy innej nie mogli wybrać drogi. Zanim odpowiedzi udzielono, do drzwiczek karety zbliżył się intendent Dun-

kan, prosząc, aby całe towarzystwo raczyło wstąpić do niego i przyjąć lekki posiłek, jaki przygotował.

— Wszakże to jedzie weselne grono córki mego dziedzica — rzekł z czułością — godzi się więc...

— Powiedz, panie Duncan — przerwał baron — dawnego dziedzica. Ale jakkolwiek mnie nazwiesz, cięsz się, że pomimo zmiany właściciela, utrzymałeś się na zajmowanej przez siebie posiadzie. Wszak baronia już dawno sprzedaną została?

Poborca nic na to nie odrzekł i kłaniając się ciągle, jedną powtarzał prośbę, którą gdy poparł sir Ewerard, baron choć z niechęcią, zgodził się na jego żądanie. Zbliżając się ku alejom, baron utonął w głębokiej zadumie, lecz przestał rozmyślać, gdy spostrzegł, że krużganki znowu na swoim znajdowały się miejscu, że ruiny uprzątniono, co ważniejsza, że obadwa kamienne ogromne niedźwiedzie, tak przez niego ulubione, znowu swoje stanowisko przed bramą zajęły.

— Cieszy mnie, — rzekł — że przynajmniej dziedzictwo moje w gospodarne dostało się ręce, gdyby nie boleść serca, złożyłbym uszanowanie nowemu dziedzicowi, aby mu podziękować za porządki, a szczegól-

niej za niedźwiedzie, że znów powołał je do dawnej służby.

— Będąc jednak tuż przy zamku baronii — odezwał się sir Ewerard — niepodobna nam pominąć właściciela, abyśmy go nie odwiedzili.

Była to chwila dla barona okazania całej mocy duszy. Westchnął więc głęboko, zażył tabaki i rzekł:

— Tak, prawdę mówisz, mój zacny przyjacielu! I Grecy i Rzymianie grzeczność uważali za cnotę, której nabycie zalecali wszystkim. Pójdźmy więc z dobrą myślą i z dobrą wolą... przykre to będą dla mnie odwiedziny, ale stary Bradwardine, żołnierz Stuartów, nie z takimi walczył przykrościami. Pamiętaj, Rózo, tę piosnkę, co mi ją często nucilaś, gdy smutek duszę moją nawiedzał:

Płynie rzeka, płynie,
Aż też w morzu zginie,
Spływa smutek na ludzi,
Niech się próżno nie trzusi,
Przejdzie dzień, przejdą lata,
Wszystko zginie do kata!

To rzekłszy, wyszedł z powozu, potem podał rękę córce i idąc przez aleję, często przystawał, dziwiąc się, z jakim pośpiechem nowy właściciel zatarł wszelkie ślady spustoszenia.

— To prawdziwy czarodziej, moje dziecko! — mówił dalej. — Gdybyś widziała, jak tu było, gdy przybywszy, kryłem się w norze jak borsuk, to byś równie nie mogła jak ja wszystkiemu się nadziwić. Patrz, nie tylko usunięto ścięte drzewa, ale wykarczowaano po nich pnie, zarównano doły, posiano trawę i tak urządzono, jakby Mars nigdy tu nie gospodarzył.

W tej chwili wybiegł Dawid w dawnej barwie, ale w sukni z wszelką starannością przygotowanej. Skacząc z dawną prostotą i wesolnością, to przed baronem, to przed Różą, pysznił się swoim strojem, wychwalając piosnką jego ozdoby. Za nim jednocześnie wybiegły duże psy barona, które poznawszy dawnego swego pana, skomląc radośnie, skakały na niego to na Różę.

— Na uczciwość, Rózo! — rzekł baron — oznaki przywiązania tego biedaka Dawida i naszych psisków pocziwych wyciskają mi lzy rozczulenia. Mój krewniak, niegodziwy Malkolm, mógłby przyjąć Dawida

za mentora, a psy za nauczycieli. Ale gdzież jest Ewerard, gdzie kochany nasz Edward i pocziwy intendent?

Mówiąc to, baron z córką zaczął wstępować na schody zamkowe i kiedy stanął w samym przedsionku, dziwiąc się, że go wszyscy odstawili, nagle roztwarły się drzwi wchodowe i wyszli przez nie sir Ewerard z Edwardem, a za nimi intendent z kluczami wielkimi na tacy, otoczony liczną służbą domowników i czynszowników obszernej baronii.

— Co to jest? — zapytał zdziwiony baron — gdzie dziedzic lord...

— Jesteś nim, jak byłeś — rzekł intendent, podając tacy z kluczami. — Przyjmij tę oznakę swojej własności...

— Co mówisz? — przerwał baron — czy zmysły straciłeś?

Na skinienie sir Ewerarda z pośród tłumu zgromadzonego, wystąpił urzędnik sądowy i rozłożywszy papiery, przeczytał głośno akt urzędowy, mocą którego nowy właściciel Malkolm, ulegając radzie złożonej z szanownych osób, ustępuje całą baronią, jakkolwiek prawnie odziedziczoną, dawnemu jej posiadaczowi, barono-

wi Bradwardine, ciesząc się że może aktu tego i sprawiedliwości dopełnić. Ulepszenia zaś wszelkie dopelnione dla zatarcia zniszczenia kosztem sir Ewerarda, tenże prosi, aby przyjęte zostały jako podarunek słubny dla córki barona, Róży, co zgadza się zupełnie z dawnym zwyczajem rodu Bradwardine. Wprawdzie w dokumencie tym nie podano jednego szczegółu, że lord Malkolm za ustępstwo to sownie został wynagrodzony ze szkatuły sir Ewerarda, ale uznano za właściwe okryć to tajemnicą przed baronem, gdyż byli pewni, że dziedzictwa swego nie przyjąłby nigdy, gdyby się dowiedział, jaką ofiarą zostało nabyte.

Gdy akt z wszelką dokładnością został odczytany i całe zgromadzenie z okrzykami radości rzuciło się ku baronowi okazując mu oznaki swego przywiązania, zacny starzec rozrzewnił się i podziękowawszy za niespodziankę, dodał:

— Dziś za jedno dziedzictwo chwilowo utracone, zyskałem dwa, bo i mienie swoje i dowody waszej dla mnie przyjaźni. Jutro modlitwą wspólną, podziękujemy Bogu za doznane dobrodziejstwo, teraz radbym was przyjąć ucztą, choćby królewską, ale spiżarnia i piwnica zapewne puste...

— Nie, ojczel! — przerwała Róża — z dobrym Edwardem o wszystkim pomyśleliśmy.

— Dajcie więc wina! — zawołał rozradowany baron — jaka szkoda, że niema naszego starodawnego dziedzicznego puharu!

Tu baron, trącony przez jednego ze złuźby, obejrzał się i ujrzał w rękę jego puhar, o którym tylko co wspomniał. Z okrzykiem radości porwał go, przycisnął do piersi i kiedy podsunęto kosz z butelkami, aby go napoćnić, baron odsunął flaszę i wznosząc go w górę, rzekł:

— Był on niegdyś czynnym i wiernie pełnił swoją służbę, niechże dziś jako emeryt pójdzie na wypoczynek. Piło się niegdyś i bawiło, dziś duch czasu i jego potrzeby wymagają pracy i trzeźwości, a jak niegdyś płyn z niego rozgrzewał, tak dziś niech serca nasze rozgrzewa obowiązek, który jako świętość szanować należy.

Wypito więc na powitanie małemi kieliszkami. Może niejeden zmianę tę niechętnie przyjął, ale większość podzieliła zdanie barona, a sir Ewerard uściskał mu rękę, mówiąc:

— Zawsze dzielny jesteś, baronie, to skazanie

potwornego twego niedźwiedzia na bezczynność, spodoba się wszystkim światłym i uczciwym ludziom i znajdzie wielu naśladowców.

— Co się jednak stanie z prawdą, — zapytał baron — która jak wiesz, że wedle przysłowia na dnie kielicha spoczywa?

— Znajdzie ją każdy w swoim sercu — odrzekł sir Ewerard — i w głowie nie oczadzonej wyziewami trunku.

Słowa te wkrótce znalazły potwierdzenie, przy uczcie bowiem pomimo wielkiej wstrzemięźliwości, rozmowa razem łączyła się ze łzami, a gdy podniesiono toast za pomyślność połączenia się dwóch domów Wawerlejew i Bradwardinów, podniosły się głośnie okrzyki, którym wtórowały wystrzały z moździerzy zamkowych, trzymanyh w łapach kamiennych niedźwiedzi.

KONIEC.

Dział

Znak

135



